TYDZIEŃ

NR 6 (82)
ROK III

8.II.1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

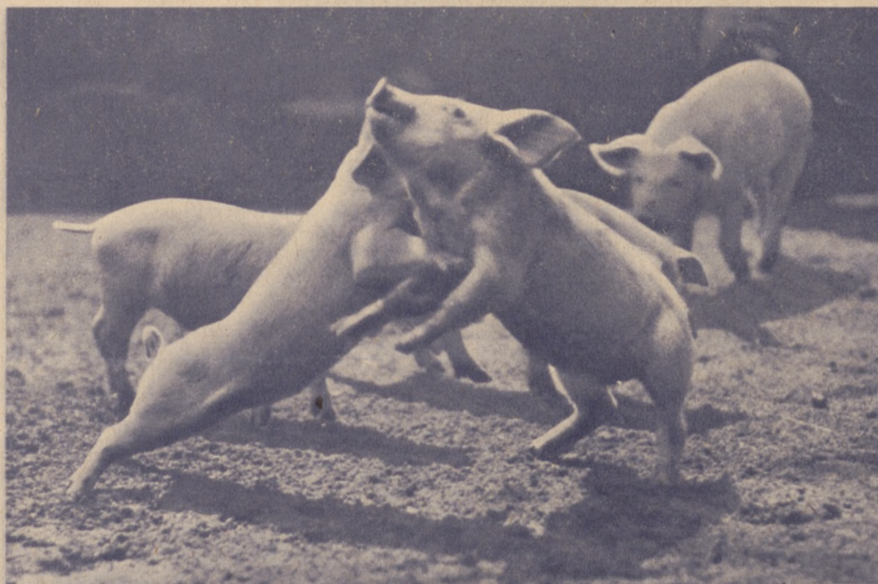


DZIŚ w NUMERZE: M. GURANOWSKI, J. MEISSNER, QUAS, W. RYMKIEWICZ, B. TUCHAN, M. SADZEWICZ, T. WIELECKI, J. WYSZOMIRSKI, J. ŻYLIŃSKA.

PRZYJAŹŃ DLA ZWIERZĄT SPRAWDZIANEM KULTURY CZŁOWIEKA



Ileż dostojeństwa w tej postaci, ile skupionej powagi w zielonych, jak szmaragdy oczach.



Prosię — oczywiście nie pieczone i nie w sosie chrzanowym odznacza się wesołym usposobieniem i żywiołową radością życia.



Kosmaty podobny do zabawki terrier jest zwierzątkiem pełnym humoru i odznaczającym się bystrą inteligencją



Chwila odpoczynku i posiłek.



Pierwszy zabieg macierzyński po urodzeniu krowiego „niemowlęcia".



Wobec wyniszczenia w Polsce bydła rogatego wskutek wojny poczciwa koza zastępuje dość wielu ubogim rodzinom krowę.



Uwaga — niebezpieczeństwo! Gęsi należą do najbardziej czujnych stworzeń. One to uratowały Kapitol, alarmując w porę o zbliżającym się nieprzyjacielu.



Jagnię w pięć minut po urodzeniu. Już rozgląda się ciekawie po świecie, który nagle otworzył się przed nim i stawia pierwsze nieporadne kroki.

RACJA „GÓRNA" I „DOLNA"

W ciągu ostatnich paru tygodni redakcja nasza miała okazję dość szerokiego zetknięcia z t.zw. „terenem". To znaczy, wysłannicy nasi zawadzali przy różnych okazjach o miejscowości — wsie i miasteczka — cieszące się ogólnie niesprawiedliwym, natomiast powszechnie stosowanym mianem t.zw. „dziur".

Jeżeli chodzi o wyżej wzmiankowaną nomenklaturę, t.zn. „dziury" i t,zw. „teren", to w tej sprawie mamy pewne swoje, redakcyjne zastrzeżenia. Już nie tylko z tego względu, że nasze pismo znajduje swoich odbiorców w lwiej części na t.zw. „prowincji". Wystarczy bowiem przypomnieć, że dla mniej więcej 90% Polaków, to, co nazywa się prowincją, stanowi ich miejsce zamieszkania, działania i życia. Polska jest krajem w olbrzymiej przewadze „prowincjonalnym", tak samo — nie łudźmy się — jak w ostatnich przynajmniej dziesięcioleciach wszystkie kraje świata. Z drugiej zaś strony, wyznawaliśmy pewnego rodzaju centralizm kulturalny. Nie tylko zresztą kulturalny, ale do pewnego stopnia gospodarczy. Mówiono mianowicie, że stolica jest swojego rodzaju studzienką zbiorczą, do której spływają dobra gospodarcze z krzywdą dla pozostałego kraju. Czy tak było, czy też nie było w rzeczywistości, nie będziemy w tej chwili dyskutowali, ponieważ nie to jest przedmiotem artykułu. Faktem jest, iż w przeciągu dwudziestolecia stolica była swojego rodzaju dyktatorem dla reszty kraju w każdym niemal, najbardziej nawet drobnym, najbardziej własnym zakresie jej życia. Obecnie, wobec uruchomienia olbrzymiego aparatu społecznego, działającego we wszystkich zakątkach kraju w postaci bądź to powiatowych i gminnych rad narodowych, bądź samorządu spółdzielczego, bądź też wielorakich odcieni i rodzajów organizacji społecznych ta inicjatywa ludzka uległa szerokiej decentralizacji, słuszniej i dosłowniej biorąc — inicjatywa społeczna uzyskała możność wielkiej ekspansji, decydującej częstokroć o obliczu kulturalnym i gospodarczym poszczególnych regionów.

Inicjatywa ta zazwyczaj pokrywa się z poczynaniami odgórnymi, jednakże z drugiej strony stanowi ona ich konieczne uzupełnienie, często zaś konieczną korekturę. Przesadny stołeczny centralizm oznaczałby narzucenie wszędzie form gotowych, zakreślonych u góry i niezawsze pokrywających się z potrzebami i pragnieniami miejscowymi. Natomiast uzupełnienie planu centralnego inicjatywą miejscową oznacza wypełnienie założeń ogólnych treścią lokalną, wynikającą z potrzeb życia w każdym zakątku kraju.

Zacząłem artykuł od tego, że nasi wysłannicy zetknęli się z t.zw. terenem w wielu miejscowościach kraju. Dlatego też pragnąłbym służyć przykładami. Nasz wysłannik przyjeżdża do jednego z bardziej pozornie nieruchawych i zapadłych powiatów Podlasia. Na samym wstępie spotyka afisz namalowany niewprawną ręką i zapowiadający przedstawienie teatralne w jednej z pobliskich wsi. Przedstawienie odbywa się w budynku specjalnie na ten cel wzniesionym, zrujnowanym czasu wojny i odbudowanym po wojnie. Jest tam i scena i kulisy i kurtyna i ławki dla widzów. Na scenie grają aktorzy — młodzi chłopcy i dziewczęta wiejskie. Publiczność reaguje z niebywałą w teatrach wielkomiejskich ekspansywnością. Wdajemy się w rozmowę z reżyserem tego widowiska. Oświadcza on, że zespół teatralny poza przedstawieniem w swoim macierzystym teatrze ma już zamówionych szereg spectakli we wsiach okolicznych, gdzie przedstawienia odbywają się w podobnych jak ten, budynkach, w remizach strażackich, domach ludowych albo w stodołach. Nie jest to teatr deficytowy, przeciwnie, jest to impreza dochodowa zasilająca swoimi wpływami inne również sprawy społeczne, jak zaopatrzenie miejscowej straży w odpowiedni sprzęt, zakupienie biblioteki publicznej itp. Główną troską teatru jest brak repertuaru. Największym powodzeniem cieszą się stare ludowe sztuki dramatyczne Anczyca i innych, ponieważ pisane były dla potrzeb teatru ludowego i w miarę jego możliwości, natomiast potrafiły się utrzymać w ramach normalnych wymogów klasycznych sztuki dramatycznej. Dzisiaj również, w niewielkim coprawda zakresie — tworzy się przecież coś nie coś dla teatru ludowego. Istnieje nawet hasło tworzenia na „zamówienie społeczne". Z tego „zamówienia społecznego" w rzeczywistości nie wielką odnosi korzyść ten, dla którego zamówienia dokonano. Sztuki teatralne, tworzone z myślą o teatrze ludowym naogół nie przedstawiają dlań żadnej wartości. Pełno w nich wprawdzie treści ideologicznej, ale brak tego zasadniczego elementu, jaką jest wartość artystyczna, oraz budowa dramatyczna. Widz prowincjonalny, czy zgoła wiejski, chłopski, ma w gruncie rzeczy te same wymagania teatralne co i mieszczuch, jakkolwiek nie posiada znajomości teoretycznej teatrologii i nie czytuje krytyk teatralnych. Następuje więc tutaj właśnie rozwinięcie pomiędzy centralnie, „stołecznie" płodzoną muzą, a jej odbiorcami. Wieś nie jest jeszcze w stanie odtworzyć i przyjąć wielkiego repertuaru teatralnego, chciałby mieć na okres przejściowy swój repertuar własny, dostosowany do jej możliwości odtwórczych, ale przecież skonstruowany na podstawie klasycznych i niezmiennych norm sztuki teatralnej.

To był jeden przykład. Cały szereg innych przykładów ilustrujących samorzutną inicjatywę kulturalną prowincji najbardziej zapadłej wsi, możnaby cytować, gdyby pozwalały na to ramy artykułu. Nasz wysłannik, który trafił na przedstawienie chłopskiego teatru, następnego dnia — był to dzień świąteczny — znalazł się w tejże miejscowości na odczycie, organizowanym systematycznie w każdą niedzielę w lokalu miejscowego gimnazjum. Tematy odczytów były różne. Odrodzenie w kulturze polskiej, rola Arian, elementy ideowe w literaturze, walka z Niemcami na przestrzeni historii, Ziemie Odzyskane, zasady skarbowości w zastosowaniu do potrzeb poszczególnego obywatela. ...Publiczność? Większość — to uczniowie i uczennice starszych klas tegoż gimnazjum. Pozostali — to nauczyciele, trochę miejscowej inteligencji, poza tym chłopi oraz robotnicy kolejowi z pobliskiej stacji. Główny kłopot organizatorów — to brak odpowiedniego materiału dla odczytów, gromadzonego z dużym nakładem sił i starań. Tu również dał się odczuć brak współdziałania elementu „stołecznego" mającego większe możliwości w zakresie zdobywania materiałów historycznych, literackich, kulturalnych i innych, dla potrzeb wdzięcznego i spragnionego żywego słowa słuchacza prowincjonalnego.

Skoro już mowa o gimnazjum, to trzeba dodać, że powstało ono z inicjatywy miejscowej, społecznej, realizując niejako powzięte „odgórnie" hasło upowszechnienia kultury i udostępnienia wyższych studiów dla młodzieży chłopskiej i robotniczej. Pierwszym warunkiem dostępu młodzieży chłopskiej do uniwersytetów jest właśnie istnienie tego rodzaju gimnazjów. Bez tego jakiekolwiek hasła programowe i teoretyczne okażą się bezpłodnymi. „Teren" zareagował na hasło, bądź też sam je sobie stworzył — i zrealizował. Góra? W danym wypadku odpowiedziała teoretycznym założeniem, że w danej miejscowości powinna być szkoła — zawodowa. Może tak wypadało z planu, czy bo ja wiem z czego? Faktem jest, że gdyby zrealizowano postulat „góry" to dana okolica będzie w przyszłości dostarczała pewnej ilości wykwalifikowanych szewców, czy techników budowlanych, natomiast dostęp do wyższych studiów zostanie dla wszystkich chłopskich synów ze wsi i osad okolicznych skutecznie zamknięty. Tak to czasami racja „prowincjonalna kłóci się z racją centralną, „stołeczną". Jeżeli obie znajdą wzajemne uzupełnienie, to rezultatem będzie harmonijny i godny kraju odradzającego się w nowych formach rozwój życia kulturalnego nie na pokaz, ale w dniu powszednim i w każdej najbardziej powszedniej i prowincjonalnej miejscowości. S.

WYSTAWA SEKCJI GRAFICZNEJ ZPAP
OKRĘGU WARSZAWSKIEGO w SARP-ie

Nie ma dziś w Polsce dziedziny sztuki, której przedstawiciele byliby tak przez wojnę zdziesiątkowani, jak graficy. Mimo to, ogólnie biorąc, poziom naszej grafiki pozostał wysoki. Jeżeli zachowały się prace nie żyjących grafików, np. Tad. Cieślewskiego (Jun.), Manteufla, Wajwódów — to wielka szkoda, że nam ich nie pokazano. Z grafików nie żyjących jest w katalogu prof. Ostoja - Chrostowski drzeworytnik - wirtuoz, którego śmierć jest dla naszej grafiki niepowetowaną stratą. Ponieważ wystawa obejmuje tylko grafikę warszawską, jest więc mocno niekompletna, a choć ozdabia ją kilka znakomitych nazwisk to razi nieobecność takiego asa, jak Kulisiewicz. Artyści nasi żywią niepotrzebną obawę przed parokrotnym pokazaniem tych samych prac. Jeżeli prace są dobre, frapujące artystycznie, to właśnie trzeba, by widz, zwiedzający przeciętnie wystawę nie więcej niż raz jeden, miał sposobność powtórnego ich napotkania, by powziął o nich zdanie, by miał swoje ulubione nazwiska.

W dziale grafiki artystycznej, prócz takich pozycyj, jak prace Bartłomiejczyka, E. Czerwińskiego, Jurgielewicza, Sopoćki, Byliny, Sołtanów, wyróżniają się osiągnięcia twórcze kilkorga młodych artystów, którzy ukończyli studia przed samą wojną, lub w czasie wojny. Z pań jest tu przede wszystkim Maria Hiszpańska, sygnująca swe doskonałe prace myszą o zamaszystym ogonie. Jest to talent wszechstronny, ciągle eksperymentujący i zawsze indywidualny, mocny, ciekawy. Znając działalność ilustratorską zarówno Myszy, jak paru innych grafików, możnaby się zastanowić, czy ów sławetny podział na „artystów" i „użytkowców" jest w ogóle do przyjęcia w dziedzinie ilustracji. Nieuzasadniona panika, jaka powstaje wśród naszych twórców na myśl o „tematyczności" i „charakterze ilustracyjnym" obrazu, czy grafiki jest czymś wręcz śmiesznym ze społecznego punktu widzenia. Przyczepiane zaś do szaleńczo - abstrakcjonistycznych majaków, bynajmniej nie abstrakcyjne (zato pretensjonalne) nazwy, oraz — co gorsza teorie polityczno - społeczne, bynajmniej sytuacji nie ratują. Usprawiedliwienie istnienia tych niezrozumiałych objawów leży w tym chyba tylko, że „dla wszystkich jest miejsce pod słońcem", o czym nie należy zapominać.

Przykładem szczęśliwego połączenia skłonności abstrakcjonistycznych z intelektualnym dowcipem są ciekawe prace Witza, który pokazał, jak można wypełnić płaszczyznę subtelnie wijącą się kreseczką w sposób sensowny i trafny. Oglądając twórczość ilustratorską Bocianowskiego ma się uczucie zadowolenia niezależnie od tego, czy widz (nie Witz) zgadza się z deformacją i uproszczeniem w ilustracji dla dzieci. Inteligencja i wrażliwość talentu Bocianowskiego sprawia, że oko syci się zarówno linearnymi, jak kolorystycznymi wartościami tych prac. To samo o jego plakatach. Ceniona para grafików, Ha - Ga i Lipiński pokazali cykl uroczych ilustracji, które mogą dać raz na zawsze wizję ilustrowanego utworu. Plakaty Lipińskiego świetne, co da się powiedzieć i o Trepkowskim.

Subtelny, nierówny rysunek i silna nastrojowość cechują J. Czerwińskiego i Samuela Miklaszewskiego.

Plakat polityczny reprezentują Zakrzewski i Berman. W dziale exlibrisów wyróżniają się wspaniałą techniką wykonania prace Tadeusza Tuszewskiego.

Szczupłość miejsca nie pozwala niestety oddać należną sprawiedliwość każdemu z wystawców, ale jest to jedna z tych wystaw, obejrzenie których może sprawozdawca z czystym sumieniem zalecić wszystkim miłośnikom sztuki.

A. Z. L.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

W układzie programu ostatnich koncertów symfonicznych spostrzegliśmy wyraźną poprawę na lepsze. Uwidoczniło się to specjalnie na ostatnim koncercie, gdzie wykonano utwory kompozytorów tej miary, co G. F. Haendel, J. Brahms oraz A. Dworak.

Orkiestra pod dyrekcją Tadeusza Wilczaka rozpoczęła program Concertem - gross X d-moll Haendla na orkiestrę smyczkową. Wykonanie było dobre, przyczym podkreślić należy, że dyrygent wykazał dużą dbałość o zachowanie stylu kompozycji.

Arcydzieło literatury skrzypcowej, koncert D-dur op. 77 J. Brahmsa, podobnie jak zresztą koncert Beethovena, reprezentuje typ symfonii, w której skrzypce występują jako instrument solowy. Koncert ten wykonany był publicznie poraz pierwszy w roku 1896, w obecności kompozytora, przez Bronisława Hubermana i odtąd dzieło to stanowi żelazny repertuar skrzypków całego świata. Solistką koncertu była Eugenia Umińska, znana skrzypaczka polska w kraju i za granicą. Pani Umińska zna tajniki instrumentu, gra w dużym skupieniu i spokojnie, a niezależnie od tego posiada ładny ton. Zadziwiająco dała sobie radę z trudnościami technicznymi kompozycji. Gorąco oklaskiwana przez publiczność wykonała na bis 2 utwory Bacha. Nad całością czuwał p. Wilczak, dbając o każdy szczegół i dostroił się w zupełności do solistki.

A. Dworak jest obok Smetany największym kompozytorem czeskim. Będąc przez kilka lat w Ameryce napisał V symfonię E-moll „Z nowego świata". Dzieło oparte na motywach egzotycznych wyrobiło autorowi wielką popularność, to też grywane jest z wielkim powodzeniem na wszystkich estradach. P. Wilczak jako kapelmistrz jest niewątpliwie zdolny, a przytem szczery muzyk i panuje nad orkiestrą doskonale.

Całość stała na wysokim poziomie artystycznym, czego dowodem były oklaski licznie zebranych znawców dobrej muzyki.

St. K.



Eugenia Umińska



Fot. Dorys

Tadeusz Wilczak

Ostrze na ostrze

OSZCZĘDZAMY — BUDUJEMY

Miałam kiedyś ciekawą rozmowę ze znajomą, która przyjechała z Ameryki. Jej spostrzeżenia o życiu w Polsce były bardzo interesujące i wręcz rewelacyjne. Stwierdziła ona, że poziom życia przeciętnego inteligenta, kupca, czy też pracownika wolnego zawodu jest wyższy w Polsce niż w Ameryce, jeśli chodzi tylko o niektóre dziedziny. Przeciętny człowiek w Ameryce nie chodzi tak często do restauracji lub do kawiarni, nie wyrzuca pieniędzy bezużytecznie. Jest bowiem przyuczony do odkładania części swoich zarobków.

Oczywiście, ma to swój związek z ogólną, wysoką życiową stopą w tym kraju, która pozwala dość łatwo przy pomocy oszczędności dochodzić do swego sa mochodu, czy swojego podmiejskiego domu. Nie będziemy przeprowadzać analogii między Ameryką i naszym krajem. Na dobrobyt amerykański złożyło się szereg przyczyn, które trudno by było wymieniać i analizować, tak samo, jak szereg przyczyn spowodowało gospodarcze zacofanie Polski, nie mówiąc już o skutkach wojny. Wojna spowodowała wzrost bogactwa Ameryki, a wiadomo, jaki miała wpływ na nasza gospodarkę.

Nawiasem mówiąc, zwolennikom planu Marshalla i zachłystującym się z powodu rzekomej bezinteresowności USA należy za komunikować jedną liczbę. Jak ogłosili Amerykanie, zarobki ich farmerów z tytułu wywozu żywności w roku 1947 wyniosły 29 miliardów dolarów: tzn., że na cały plan Marshalla na przestrzeni lat 5-ciu hojna rzekomo Ameryka przeznacza mniej, niż zarobiła wyłącznie na wywozie żywności.

Ale to tylko uwaga na marginesie. Wracamy bowiem do naszego tematu. Rozpoczęła się obecnie w Polsce szeroka propaganda za akcją oszczędnościową. Chodzi o to, ażeby ta pewna nadwyżka dochodów nad potrzebami była zużyta na cele produktywne, by została oddana na potrzeby ogółu. Może powiedzieć ktoś, że bardzo niewielu jest ludzi w Polsce, którzy całkowicie mogą zaspakajać swoje potrzeby w zakresie ubrania, mieszkania i wielu innych, które są potrzebami każdego cywilizowanego i kulturalnego człowieka. Jeśli jednak ustrój nasz oparty jest na dążeniu do sprawiedliwości społecznej, dążyć mu simy do tego, by część zarobków ludzi lepiej uposażonych była obrócona na cele inwestycyjne, na odbudowę zniszczonego Kraju.

Takie są założenia akcji oszczędnościowej, którą podejmuje Rząd i instytucje oszczędnościowe z instytucjami spółdzielczymi na czele.

U podłoża tej akcji spoczywa to założenie, które kieruje całą naszą gospodarką, a mianowicie konieczność aktualnego wyrzeczenia się wielu rzeczy celem zapewnienia rozwoju Kraju na przyszłość. Nasze oszczędności to jest pożyczka, którą udzielamy przyszłym pokoleniom, a może nawet nam samym, bo przecież każdy z nas żyje wiarą i przekonaniem, że będzie własnymi oczami oglądać lepszą przyszłość.

AVIS

KRONIKA KULTURALNA

„DZIENNIK ŁÓDZKI" potraktował „Jasne łany" humorystycznie. Powiada tak: „Cękalski wziął wieś polską, głupiego Jaśka niedojdę, bo jakże by się na wsi obyło bez jednego półgłówka? — toć już Konopnicka napisała wzruszającą nowelkę o Głupim Franku — wziął to, do tego dziury w moście, bo wiadomo, jakie są polskie mosty i polskie drogi, wziął dużo bimbru, pieska na łańcuchu, szlachetnego nauczyciela z Żeromskiego, ni to Przełęskiego ni to Judyma, wziął baby z kijankami nad ruczajem, wesele z Reymonta i oczepiny, dwa czarne charaktery, smukłą dziewoję, pijaków i kretynów, brudasów i jąkałów, reformę rolną i elektrykę, świetlicę, spółdzielnię, pożar, zabójstwo i mordobicie, i mnóstwo innych sekretów alchemicznych: zmieszał to wszystko, utarł, zagotował i powiedział prof. dr Tadeuszowi Szeligowskiemu: a ty dorób do tego muzykę... Taka była geneza filmu... A jaka jest jego idea? Co chciał nam Cękalski powiedzieć? Chciał powiedzieć tak: — Moi państwo, w tej Polsce, w tej wsi polskiej, nic właściwie nie było; brud i smród, dzicz i nędza, bandyci i podpalacze, czarna reakcja uosobiona w postaci Eleganta, bezprawie tak okropne, że można tam było demolować szkoły na oczach wszystkich, a policja — to jest, pardon: milicja, choć to się działo kilka kilometrów od Łowicza, w sercu tj. w dżungli polskiej, milicja wcale się nie kwapiła, żeby zrobić porządek, i nawet żadnego sołtysa w tej wsi nie było, ani nawet księdza, choć kościół niby jest. Tak to się działo, moi państwo. Przyszedłem dopiero ja, przyjechałem z Ameryki po siedmiu latach alchemii kinematograficznej — i proszę: powiedziałem fiat lux! niech się stanie elekstryka! I w pięć minut macie wszystko gotowe: przyjechali monterzy, Elegantów diabli wzięli, zjawiła się wreszcie dziarska milicja, chłopi w moment się ucywilizowali: są, proszę państwa, jasne łany, jak niegdyś były jasne pany, są i będą! Tempo amerykańskie. Kultura zrobiona. Szczęście w ojczyźnie. Hip, hip, hurra! I to wszystko jest moim dziełem. Niech żyje Cękalski!... Co mu się stało, temu człowiekowi? — kończy „Dziennik Łódzki": — siedział przecie siedem lat w tej Ameryce. Co prawda, jest przysłowie, że i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. A może mówił Cękalski w postaci ryżu, tylko znów w tej ojczyźnie, w tym strasznym mateczniku Filmu Polskiego zamienił się w owies?"

ANTONI GOŁUBIEW podjął w „Tygodniku Powszechnym" interesującą próbę zrewidowania problematyki „Warszawianki", którą wystawiono w Krakowie, ku uczczeniu 40-lecia śmierci Wyspiańskiego. Gołubiew uważa, że teatr krakowski, w inscenizacji i reżyserii tej „tragedii niekoniecznych ofiar, poniesionych dla wielkiego gestu", poszedł drogą utartych szablonów: wystawił ją tak, jak się ją grało za czasów „Młodej Polski" i w okresie międzywojennym. Tymczasem: „za nami jest kosz mar lat, zmagań milionowych armii, w których cały świat brał udział... za nami są lata zbrodni i śmierci... a koroną tego było dla nas powstanie warszawskie, po którym pozostała miazga czerwonej cegły, mogiły rozsypane po ruinach". To wszystko powoduje, że „Warszawianka" w naszych oczach jest dzisiaj „tragedią niedopowiedzialności". I tej nowej głębi arcydzieła Wyspiańskiego teatr krakowski nie zdołał przeniknąć.

St. Łatm

Quas TEŚCIOWA

Materia, że tak powiem drażliwa. Wprost niebezpieczna. Trzebaby jakoś delikatnie do niej podejść. W rękawiczkach. Jak do zarazka cholery, albo tyfusu.

W ogóle może jej lepiej nie poruszać?

Bo to i przeczytać niejednemu przyjdzie trudno. Po kątach i dyskretnycn miejscach będzie się musiał kryć z taką lekturą. Niech ręka Boska broni!

Chyba, że temat obiektywnie potraktować. Z naukowego punktu widzenia. Monograficznie! O!

Teściowa.

Starzy Polacy nazywali ją ćcia. Uważacie? Ćcia! Powtórzcie sobie tylko: Ćcia!

Co? Dobra nazwa? Hę? Jakby się widziało takiego starego Polaka, jak zaciska pięści, i zgrzytając kłami, syczy: ćcia!

Tak, moi drodzy. Cóż? Kultura robi swoje. Dziś się mówi łagodnie: teściowa. Człowiek też swoją drogą, skapcaniał od tej pory. I białogłowy do więk szego głosu doszły. Czasy już nie te. Oho!

Dziś na paluszkach zięć koło drogiej „mamuni" skacze i miarkuje się, żeby, broń Boże, nieostrożnym słowem nie urazić. Jak z jajkiem, panie! Gdyby nie naukowy charakter monografii, to by nie wadziło dodać: — z nieświeżym!

Jakiś żółtodziób, rzeczy nieświadom, żachnie się, być może, na te ceregiele i zakrzyknie:

— Toż to hańba, obłuda takowa! Mężowi przystoi w otwartej walce z wrogiem zwyciężyć, lub zginąć!

Uspokój się, panie kawalerze. Najpierw się ożeń. Wtedy przekonasz się, że wróg jest niewidzialny. Że twoja walka nie ma żadnych szans zwycięstwa. Że w ogóle nie ma walki. Jest tylko jedna, nieuchronna ofiara. Tą ofiarą będziesz ty!

Wroga nie zobaczysz. Będziesz widział przed sobą dobrotliwy uśmiech i pogodne spojrzenie. Ale wolej ci ujrzeć wzrok bazyliszka lub jadowitej kobry. Wiedziałbyś przynajmniej, skąd ci grozi niebezpieczeństwo. Mógłbyś się bronić.

Tu jesteś bezbronny. Twoje wszystkie pięty Achillesa są znane wrogowi na wylot. W każdej z nich utkwi zatruta strzała, kierowana szatańską dłonią.

Ludzie, fakty i przedmioty sprzysięgną się przeciwko tobie. Żona, dzieci, służba, dozorca domu, listonosz, ko-



...i nie omieszka zdemaskować cię przewrotnie przed żoną.

mornik, inkasent elektrowni, kominiarz będą narzędziami wrogiej siły, która dzień po dniu będzie wysysać twoje zdrowie, targać nerwy, odbierać rozum, aż doprowadzi cię do ruiny fizycznej i moralnej.

Wroga nie widzisz. Tylko czujesz wszędzie jego nienawistną rękę.

Kiedy twój szef robi ci wymówki, to wiedz, że to intryga teściowej.

Kiedy żona chodzi nadąsana z kąta w kąt, to dzieło teściowej.

Kiedy dzieci okazują ci dziwny chłód, to wpływ teściowej.

Kiedy przyjaciele zaczynają cię unikać i lekceważyć, to rączka teściowej.

Kiedy służąca tobą jawnie pogardza, kiedy dozorca przestanie ci się kłaniać, komornik okaże się bezwzględnym i wierzyciele zaczną cię nachodzić, źródłem tych szykan będzie teściowa.

Ona jedna zauważy w koszu od śmieci przegrane bilety totalizatora i powie słodko przy żonie:

— Klemensowi dziś nie poszło...

Ona jedna ,gdy przyniesiesz ciastka, poczuje od ciebie zdaleka subtelną woń śliwowicy, choć byś zagryzł garścią kawy i pocieszy żonę z jadowitym uśmiechem:

— To ładnie, że Klemens przy wódce nie zapomniał o żonie...

Ona jedna jakimś diabelskim sposobem dowie się zawsze o twojej każdej eskapadzie i nie omieszka zdemaskować cię przewrotnie przed żoną:

— Żeby to kto inny, nie Klemens, tobym pomyślała, że zdradza żonę...

Taka śliczna ta blondynka...

Ale sama nie skrytykuje cię jednym słowem. Nie da ci w rękę żadnej okazji do zaatakowania w otwartym polu. Z abisyńską taktyką wciąga cię w zasadzkę i puszcza zatrute pociski z ukrycia.

Nie rozumiem tylko dwóch rzeczy:

Dlaczego ustawodawca nie wyłączył zamordowania teściowej ze sprawy za bójstwa zwykłego? Czyżby nie miał nigdy teściowej?

I dlaczego ludzie żenią się ciągle, mając przed oczyma złowieszcze przysłowie: — Jaka mać taka nać!

Dla udowodnienia całej swej bezstronności i podkreślenia teoretycznego charakteru powyższych rozważań, muszę stwierdzić, że moja teściowa jest osobą godną najgłębszego szacunku i zięciowskiej miłości.

Quas.

Kalendarzyk historyczny

30 styczeń

1018 Pokój z Niemcami w Budziszynie.
1805 ur. się August Wilkoński.
1882 ur. się Franklin Roosevelt, prezydent USA.
1919 Uznanie Polski przez Stany Zjednoczone.
1923 Przyznanie Polsce praw do przyjmowania wizyt obcych flot w Gdańsku.
1940 Masowy mord Polaków w V forcie w Poznaniu.

31 styczeń

1257 Trzęsienie ziemi w Krakowie.
1667 zm. Jerzy Lubomirski.
1736 ur. się James Witt.
1797 ur. się Franciszek Schubert.
1871 ur. się Zdzisław Dębicki.
1906 Umiastowienie teatrów warszawskich.
1943 Kapitulacja Paulusa pod Stalingradem.

1-szy LUTY

1676 Koronacja Jana III Sobieskiego.
1733 Zm. August II Mocny.
1793 Wybuch wojny francusko-angielskiej.
1836 Zm. Rouget de l'Isle.
1908 Zamordowanie króla Don Carlosa.
1930 Uruchomienie polskiej komunikacji telefonicznej z Nowym Jorkiem.
1943 Zm. Stefania Sempołowska.
1944 Zamach na Kutsherę.
1945 Przeniesienie się Rządu z Lublina do Warszawy.
1946 Zm. Marian Stępowski.

2-gi LUTY

1594 Zm. kompozytor Giovanni da Palestrina.
1772 Konfederaci Barscy zajmują Kraków.
1802 Ur. się poeta Bohdan Zaleski.
1863 Ur. się Maria Rodziewiczówna.
1930 Uruchomienie radiostacji w Łodzi.
1962 Otwarcie Międzynarodowej Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie.
1935 Zm. Bolesław Limanowski.
1943 Zajęcie Stalingradu przez wojska radzieckie.

3-ci LUTY

1280 Zwycięstwo Leszka Czarnego nad Jadźwingami.
1735 Ur. się poeta Ignacy Krasicki.
1809 Ur. się Feliks Mendelsohn Bartholdy.
1821 Zm. bohater Samosiery Jan Kozietulski.
1830 Grecja ogłosiła się niepodległym Królestwem.
1875 Zm. Stanisław Worcel.
1893 Zm. poeta Teofil Lenartowicz.
1899 Zm. artysta malarz Juliusz Kossak.
1924 Zm. Prezydent U.S.A. Woodrow Wilson.

NOCE BEZSENNE

Co raz częściej napastuje mnie bezsenność. Ale, jak słyszę, wielu doświadcza jej po wojnie. Zasypiam — hen. nad ranem; budzę się po paru godzinach jak zbity. Nie wiem, co to bezsenność z punktu widzenia medycyny, i jakie są na nią środki zaradcze. Językowo — bezsenność, to „brak snu". Co robić, gdy niedobry sen nie przychodzi, choć powinien przyjść? Zadowolony Kochanowski w którejś ze swych pieśni śpiewa: „Zegar północ wybija: ustąp, melankolija". Ustąpać troski dzienne: chce mi się spać. Ze mną przeciwnie: zegar północ wybija — nadchodzi — melankolija. Co robić wówczas? Jestem dość spracowany przez cały dzień, żebym mógł pisać nocami. Zresztą, żeby pisać, trzeba mieć o tyle o ile świeżą głowę. Tylko Gałczyński jest takim fenomenem, zazdrości godnym. że pisze „Zieloną gęś" po odurzeniu się alkoholem. Nawet Przybyszewski, największy alkoholik wśród pisarzów. nie tworzył. nie potrafił tworzyć po znużeniu pijackim i musiał się naprzód wyspać, wypocząć, wykąpać i dopiero zasiadał do biurka. Ja, skromny felietonista, tym bardziej nie umiem pisać w zmęczeniu. A bezsenność męczy, więc co robić?

Nie mogąc spać, czytam Leżę na wznak, palę światło i czytam całymi nocami. Rzecz osobliwa, że w godzinach bezsenności nie mogę czytać książek ani pisać dzisiejszych, aktualnych: te czytuję w dzień, w pełnym blasku słońca. Gdym próbował czytywać w nocy „Tygodnik Powszechny" i „Kuźnicę", „Znak" i „Myśl Współczesną" — jedno po drugim. opadały mnie zmory. Jak neurastenik Korzecki z „Ludzi bezdomnych" lękałem się, że chwyci mnie w szpony „pavor nocturnus", jak powiada psychiatria — strach nocny: bezsenność i strachy, to rzeczywiście „embarras de richesse". Natomiast zupełnie nieźle, w sensie kojącym, działa na mnie podczas bezsenności odczytywanie rzeczy starych, nawet bardzo starych. Którejś nocy czytałem „Pieśni" Kochanowskiego; innym razem zabrałem się aż do Homera; dla odmiany wziąłem „do poduszki" (o ironio!) „Don Kichota"... Teraz, od kilku nocy, jestem w toku przeczytywania dialogów Platona, innymi słowy — obcuję nocami z Sokratesem i Ateńczykami z V wieku przed Chrystusem, tj. z Ateńczykami w tzw. rozkwicie ich demokratycznej wolności, która doprowadziła Sokratesa, najlepszego z ludzi, do wypicia „czary cykuty": tak ładnie i niewinnie nazywano okrutną karę śmierci przez otrucie.

Dialogi Platona przypomniały mi pewną mądrą książkę włoskiego pisarza, Alfreda Panziniego, o Ksantypie czyli żonie Sokratesa. Mówiąc nawiasem, przypuszczam, że książka ta musiała wywrzeć niejaki wpływ na „Obronę Ksantypy" Morstina: „Ksantypa" Panziniego wyszła w przekładzie polskim na rok przed wybuchem wojny, razem z drugą jego książką — o Diogenesie, a więc i tym dziwnym filozofie, który w biały dzień, z latarką w ręku, szukał prawdziwego człowieka. I podobno nie znalazł go do końca swego życia, a żył lat osiemdziesiąt z okładem.

Czy państwo znacie Panziniego? Był to również filozof. Umarł z wiosną r. 1939, w wieku lat 76-ciu. Piękny wiek, prawie diogenesowy, i bardziej sędziwy od Sokratesowego. Ciekawe jest, że olbrzymia większość filozofów żyje długo. Co do Panziniego, mógłby był żyć jeszcze, gdyby nie zapalenie płuc. Ale umarł szczęśliwie dla siebie, bo nie doczekał wojny: uderzyłaby w niego ciosem z pewnością śmiertelnym. W jego ojczyźnie nazywano go „przyjacielem mądrości". W testamencie swym prosił by go pogrzebano w drewnianej, nie heblowanej trumnie. Ale za trumną postępowali wszyscy żebracy i biedota rodzinnego miasta — Mediolanu.

Panzini był z wykształcenia filologiem, z przekonania czcicielem starożytnej Hellady. Z ducha jej zaczerpnął swoją mądrą ironię, jasny sceptycyzm myśli. miłość życia i prawdy oraz szeroką wyrozumiałość dla człowieka czyli humanizm. Szczególnie zajmowały go czasy Sokratesa — epoka do pewnego stopnia schyłkowa Grecji, epoka jej upadku moralnego, na którego tle jawi się szczerolita postać Sokratesa, wcielająca w siebie „sumienie narodowe": to „sumienie narodowe" musiało ponieść śmierć ofiarną (na podobieństwo późniejszego Chrystusa), a ta śmierć była następstwem nieuniknionego konfliktu pomiędzy szlachetną, myślącą, kochającą i nieugiętą, jednostką i środowiskiem, z jego obłudną, urzędową, przepisową moralnością.

Porwany przed sąd, Sokrates, wygłaszając swą przesławną „apologię" czyli obronę, zapisaną przez Platona, mówi w niej o swem posłannictwie społecznem w te słowa: „Jeśli mnie skażecie, Ateńczycy, nie łatwo znajdziecie drugiego takiego, któryby tak — śmiech powiedzieć — jak bąk z ręki bogów puszczony, siadał ludowi na kark. Lud nasz — niby koń wielki i rasowy, ale gnuśnieje i potrzebuje jakiegoś żądła, żeby go budziło. I zdaje mi się, że czemś takim dla was jestem ja, który was ciągle budzę, i nakłaniam, i podniecam".

Te słowa Sokratesa stają się dla Panziniego wyjściem do rozważań, rozmyślań, do zadumy filozoficznej nad sprawami ludzkimi. Proszę posłuchać, jak on w jednym miejscu komentuje te słowa, z ironią iście Sokratyczną: „Sokrates chciał być bąkiem, który miał kąsać tego szlachetnego lecz leniwego konia, jakim był lud ateński. Ale była to służba nieproszona. Więc koń wierzgnął raz nogą i zabił bąka". Całkiem po prostu, nieprawdaż? W innym miejscu powiada: „Posępnym faktem jest, że ludzkość musi co pewien czas, jak ludojad z bajki, pożreć jakiegoś sprawiedliwego człowieka". Wszelako zaraz doda: mimo to, takie bąki jak Sokrates, są od czasu do czasu potrzebne: i konieczne (Słowacki rzekłby: albowiem biada tym, co się zaleniwią w pracy ducha) — są konieczne, aczkolwiek czeka ich zawsze nie tylko niewdzięczność, ale i klęska. Historia, naturalnie, później to wszystko uporządkuje i wynagrodzi, jak powie ustami Norwida: „Każdego z takich, jak ty, świat nie może od razu przyjąć na spokojne łoże... Lecz grób twój jeszcze odemkną powtórnie: inaczej będą głosić twe zasługi..."

Wydaje się, że taką lekturę w godzinach bezsenności trudno nazwać kołysanką. Jednakże — oto paradoks: wionie z niej optymizm i wiara. I pod ich powiewem wreszcie zasypiam.

Jerzy Wyszomirski

Czy o tym wiecie?

RUCH OPORU W PALESTYNIE

Trzy organizacje stanowią trzon ruchu oporu w Palestynie, a mianowicie: „Haganah", „Irgun Zvai Leumi" i „Grupa Sterna".

Oragnizacja „Haganah" uważana jest w Palestynie za zbrojne ramię Żydowskiej Agencji Palestyńskiej, uznanej swego czasu przez Ligę Narodów za oficjalną reprezentację świata żydowskiego we wszystkich sprawach, dotyczących żydowskiej siedziby narodowej. Haganah nie prowadzi swojej własnej polityki, podporządkowując się ściśle Agencji Żydowskiej.

Głównym celem i elementem akcji Agencji jest walka o nieograniczoną imigrację żydowską do Palestyny. Jako legalna organizacja, zwalcza Agencja restrykcje angielskie środkami legalnymi. Gdy trzeba uciec się do środków nielegalnych, działa wówczas Haganah.

Najsilniejsze sympatie żydowskiej opinii publicznej w Palestynie i jej poparcie zyskuje sobie Haganah dzięki swej nieprzebierającej w środkach akcji przy próbach nielegalnego przedostawania się Żydów na teren Palestyny.

Organizacja Haganah liczy około 60.000 członków. Praktycznie jednak każdy Żyd w Palestynie uznałby w potrzebie autorytet Haganah i podporządkowałby się jego rozkazom. Dlatego to mówi się w Palestynie, że Haganah liczy nie 60.000, lecz 600.000 członków, tj. tyle, ile ludności żydowskiej jest w tym kraju.

Druga z kolei grupa bojowników palestyńskiego ruchu oporu znana jest pod nazwą „Irgun Zvai Leumi" i uważa leaderów sjonistycznych, którym podporządkowuje się Haganah, za „quislingowców". Ta bardziej skrajna grupa podziemia żydowskiego, licząca ok. 5.000 członków, reprezentuje politykę bezwzględnej siły w dążeniu do zdobycia samodzielnego bytu państwowego, gdy Haganah posługuje się siłą, dla poparcia polityki Żydowskiej Agencji.

Wszystko, co ma jakikolwiek związek z władzami brytyjskimi w Palestynie, jak kwatery policji, urzędy podatkowe i imigracyjne, stacje kolejowe i tabory wojskowe, obozy, składy broni — wszystko to jest przedmiotem ataków sabotażu, napadów i wysadzeń w powietrze ze strony Irgunowców. Komendantem organizacji jest polski uchodźca Menachem Beigisz, który uciekł z armii Andersa, aby współdziałać z organizacją „Irgun Zvai Leumi". Władze brytyjskie wyznaczyły 8.000 dolarów za schwytanie go.

Irgunowcy wyłonili się z organizacji Haganah w okresie zaburzeń arabskich w roku 1936, która, w myśl wskazań Agencji Żydowskiej, jedynie odpierała ataki Arabów, nie mszcząc się na nich wcale akcją odwetową. Jako zwolennicy polityki „oko za oko" przeprowadzili Irgunowcy kampanię kontrterroru przeciwko Arabom.

W okresie wojny przeciwko Hitlerowi Irgunowcy i Haganowcy postanowili wstąpić do szeregów armii brytyjskiej. Ta decyzja doprowadziła do rozłamu w szeregach Irgunu i wtedy to powstała najbardziej skrajna grupa żydowskiego ruchu oporu w Palestynie, „Grupa Sterna". Nazwa pochodzi od ich przywódcy, polskiego Żyda, Abrahama Sterna, który w późniejszym okresie zabity został przez Brytyjczyków w czasie zasadzki na jego kryjówkę.

Grupa Sterna, licząca zaledwie kilkuset członków, którzy nazywają siebie „Bojownikami o wolność Izraela", odmówiła współdziałania z Anglikami, uważając ich, jako okupantów Narodowej Siedziby Żydowskiej, za swych arcy-wrogów.

Sterniści potępiają zarówno Haganah jak i Irgun za ich „humanitarność", wyrażającą się we wzywaniu Anglików do opuszczenia obiektów, przeznaczonych do wysadzenia. Dla sternistów, każdy Brytyjczyk w Palestynie jest wrogiem Żydów przez samą obecność w tym kraju.

Mimo, iż Haganah, Irgun i grupa Sterna różnią się w metodach swojej akcji, co często doprowadza do poważnych konfliktów pomiędzy tymi trzema organizacjami żydowskiego ruchu oporu w Palestynie, cel ich jest bezsprzecznie jeden: uwolnienie żydowskiej siedziby narodowej spod rządów brytyjskich i udostępnienie Palestyny jako wolnego kraju wszystkim Żydom bez ograniczeń.

MUSSOLINI

JAKO „APOSTOŁ MORALNOSCI RODZINNEJ"

W Nr 8 z r. 1928 popularnego przed wojną „Przeglądu Kobiecego" przedrukowany został wywiad pewnego dziennikarza angielskiego z Mussolinim na temat rozwodów. Znając „miłosne perypetie" kabotyńskiego dyktatora z jego lat ostatnich warto skonfrontować je z patetycznymi wypowiedziami z przed 20 lat, kiedy to jeszcze „Duce" był żywiołowym propagatorem „świętości rodziny". Oto fragmenty oświadczeń Mussoliniego wobec dziennikarza:

— Włosi są najmoralniejszym narodem na świecie, lecz trąd niemoralności szerzyć się zaczyna i we Włoszech, tak, że postanowiłem oświadczyć tym, którzy skłonni byliby lekceważyć świętość rodziny:

— Nigdy na to nie pozwolę!

— Niemoralność, chęć nawiązania nowych stosunków erotycznych pod wpływem kaprysu czy namiętności stanowi główną pobudkę ataków na świętość związku małżeńskiego. Chęci szukania nowych wrażeń w dziedzinie seksualnej nie powinno się — zdaniem wielu — uważać za niemoralną, albo nawet za odrażającą, skoro zdołała pozyskać uznanie legalne — prawne.

— Dla mnie jest to cudzołóstwo! określenie tego występku łagodniejszą nazwą uważam za hipokryzję.

Teraz, kiedy to stało się koniecznie, państwo — jako stojące na straży fizycznego i moralnego zdrowia jednostki — musi stanąć w obronie rodziny.

Zaliczę niewierność w małżeństwie do rzędu występków karalnych więzieniem od 1 roku aż do dożywotniego zamknięcia. Położy to rychło kres rozwiązłości tych, którzy pozwalają sobie na występki przeciw moralności.

— Oburza mnie do głębi duszy, kiedy czytam w pismach zagranicznych wzajemne oskarżanie się mężów i żon o niewierność. Gniewa mnie też, kiedy widzę, że ludzie oskarżeni o niewierność nie tracą nic na opinii u ludzi szanujących nakazy moralności i prawa.

— We Włoszech pod rządem faszystowskim nie będzie pobłażania dla burzycieli moralności i rodziny! Rządy włoskie będą ostro karały winnych popełnienia zdrady i rozbijania rodziny, a czyny tych ludzi — bez względu na ich stanowisko — będą piętnowane właściwym mianem — cudzołóstwa!"

Tak pięknie deklamował „Duce" w r. 1928, nie przewidując na pewno jeszcze pięknej Klary Petacci i swego „arcyniefaszystowskiego cudzołóstwa..."

M. T.

Ze starych fraszek

STANISŁAW NIEWIESKI (wiek XVII)

Na jeżdżących do cudzych krajów

Nie jeden cudze co przejeżdżał kraje,
Miasto nabycia stracił obyczaje,
Trzpiot z niego, plecie nie do rzeczy wiele,
Powrócił wołem, bo wyjechał cielę.

WESPAZJAN KOCHOWSKI (1633 — 1700)

Pan Górka

Kiedy z jednym przy stole żółtobrzuchem siedzę,
Fada, że bez ogórka nic nie weźmie w gębę.
Wtem ktoś z pijanych rzecze: Nie pleć, panie Górka!
Chlust go w pysk. A toż musisz wziąć i bez ogórka.

JAN BORKOWSKI (wiek XVII)

Papier

Drogi papier w papierni, droższy na straganie,
Droższy w małych kramikach przy ratusznej bramie,
Droższy jeszcze w księgarniach i typografii,
Kędyż przecież najdroższy jest? — W Kancelarii.

Nowe książki

Kawczyński Antoni — Dannemora. Powieść. Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu, które dotąd zajmowało się wydawaniem książek o charakterze publicystycznym i popularno - naukowym, z zakresu problematyki Ziem Zachodnich — rozszerza obecnie swój zasięg, włączając doń również beletrystykę. Jako pierwsza z tego działu ukazała się ciekawa powieść Kawczyńskiego „Dannemora". Wydanie II, Wydawnictwo Zachodnie, str. 192.

Dr Karpiński J. J. — Białowieża. Ciekawa historia i bogactwo puszczy białowieskiej z licznymi ilustracjami. Instytut Wydawniczy „Kolumna", str. 135.

Cary Lucjan — Ring wolny. Powieść dla sportowca. Powieść ta stanowi specjalną atrakcję, gdyż bohaterem jej jest bokser ,champion lekkiej wagi. Wydawnictwo Zachodnie, str. 268 Przekład A. Kawczyńskiego.

Pollak Roman — Uroda morza w polskim słowie. Jest to zbiór wypowiedzi naszych pisarzy o morzu, poczynając od słynnego anonima Gall'a z XII wieku aż do Fiedlera.

Na okładce oryginalny drzeworyt Cz. Borowczyka. Wydawnictwo Zachodnie, str 32.

Gołba Kazimierz — Wieża spadochronowa — Powieść.

Do powieści swej znany pisarz śląski Gołba zaczerpnął temat z wydarzeń śląskich we wrześniu 1939 roku. W południowej części miasta Katowic, w parku stały dwie wieże: obserwacyjna i spadochronowa. Tam właśnie zamknęli się harcerze i harcerki, z zamiarem powstrzymania Niemców. Bohaterem powieści jest harcerz Stach. Jest to bardzo pożyteczna lektura dla młodzieży. Wydawnictwo Zachodnie, str. 170.

NIEMIECKIE BOMBY

nad New Yorkiem i Waszyngtonem

Gdy w przebiegu pierwszej wojny światowej 1914 — 1918 Anglia, dzięki swemu położeniu wyspiarskiemu, nie ucierpiała wcale od działań wojennych, w drugiej wojnie światowej Anglicy doświadczyli na własnej skórze, wszystkich chyba, udręk wojennych, prócz najgorszej — udręki okupacji hitlerowskiej.

Nie dużo zresztą brakowało, by i Stany Zjednoczone zakosztowały przyjemności skutków niemieckich bomb V_1 i V_2.

Było to w listopadzie 1944 r. Niemieckie łodzie podwodne, które w swych kursach przez Atlantyk dotarły do wschodnich wybrzeży Ameryki, miały wypuścić serię pocisków rakietowych na Waszyngton i New York. Jeden taki pocisk został wyrzucony z pokładu łodzi, ale co się z nim stało, nie wiadomo. Łodzie podwodne, ujawnione przez Amerykanów za pomocą radarów, zostały unieruchomione specjalnym rodzajem fal radiowych i w następstwie przychwycone.

Ta pierwsza — i ostatnia — próba zbombardowania New Yorku pociskami rakietowymi z pokładu łodzi podwodnej, dokonana została w dzień wyboru prezydenta, 7 listopada 1944 r.

Następnego dnia w „New York Times" — ukazało się zwięzłe oświadczenie rzecznika Departamentu Wojny, że „ataki robotów na Waszyngton lub New York są całkowicie możliwe", czego jednak nie należy uważać za ostrzeżenie w tym sensie.

Po tym sensacyjnym oświadczeniu nastąpiła zupełna cisza, gdy opublikowano w dn. 3 stycznia 1945 r. wypowiedź admirała Ingraina, naówczas komendanta atlantyckiej floty, znów zaniepokoiła opinię amerykańską. Oświadczył on mianowicie, że „nie tylko jest możliwą, ale nawet prawdopodobną rzeczą, iż New York i Waszyngton będą celem ataków pocisków rakietowych w ciągu najbliższych 30 do 60 dni."

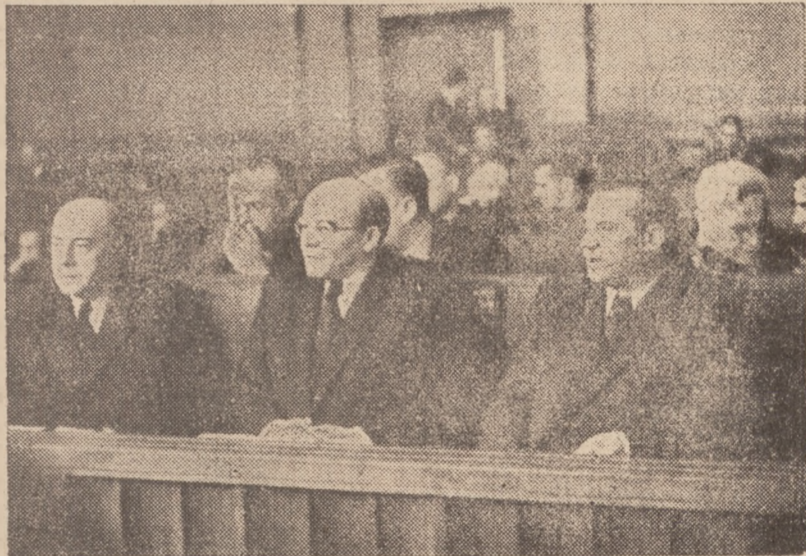
Bezpośrednio po tym oświadczeniu, złożonym przez admirała Ingraina na konferencji prasowej, Departament Wojny wysłał komunikat, dementujący oświadczenie admirała.

„Nie ma powodu przypuszczać obecnie, że Niemcy zaatakują nas pociskami rakietowymi, tak jak nie było powodu do tego w dniu 7 listopada 1944 r." — brzmiało oświadczenie Departamentu Wojny.

Było to już zresztą u schyłku przewagi wojennej Hitlera, dzięki czemu Stany Zjednoczone zdołały uniknąć nieprzyjemnych następstw ataków rakietowych pocisków.

Film TYGODNIA

Z SALI SEJMOWEJ



Po powrocie z Moskwy, delegacja rządowa na czele z premierem Cyrankiewiczem, wzięła udział w sesji sejmowej, w dniu 30 stycznia br. SAP.



Minister skarbu Konstanty Dąbrowski, referuje ustawę rządową o obowiązku powszechnego oszczędzania. SAP.



W proklamowanej republice ludowej Rumunii — władzę wykonawczą, wykonywać będzie prezydium, składające się z 5 członków, prezesem którego został wybrany prof. C. I. Parhon.



Nowy prezydent Szwajcarii — M. Rodolphe Rubattel.

SAP.

100 WIERSZY O SPORCIE

Gdyby żył twórca neoolimpizmu, Piotr de Coubertin, miałby bardzo zasmucone oblicze, obserwując bezprzykładne w dziejach nowoczesnych olimpiad wypadki, jakich świadkiem jest obecnie St. Moritz. To, co dzieje się na V zimowych igrzyskach zmusza do refleksji i nie napawa radością. Szlachetna idea olimpijska została mocno spaczona. Aż dziw bierze, że magistratury międzynarodowe sportu nie potrafiły stanąć na wysokości zadania w imprezie, która od pół wieku uważana jest za największe święto sportu światowego.

Zaczęło się właściwie jeszcze w Ameryce, która nie zdobyła się na uzgodnienie reprezentacji hokejowej swego kraju i do Europy mr. Brundage przywiózł zespół hokejowy cieszący się poparciem Amerykańskiego Komitetu Olimpijskiego, a jego ziomek, mr. Brown, drugi zespół, który miał protekcję Amerykańskiej Ligi Hokeja na lodzie. W rezultacie spowodowało to ostry konflikt, który podważył autorytet Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, bowiem do igrzysk dopuszczono zespół mr. Browna. W obronie swoich praw Międz. Kom. Olimpijski uznał, że turniej hokejowy odbywa się poza ramami konkurencji olimpijskiej, co spowodowało ostry protest Szwajcarskiego Związku Hokeja na lodzie, który, nie bez słuszności zresztą podkreślił okoliczność odbytej już ceremonii olimpijskich, poprzedzonych ślubowaniem olimpijczyków.

O sile konfliktu świadczy fakt interwencji prezydenta Szwajcarii — okoliczność bez precedensu w historii neoolimpizmu.

Chaos powojenny znalazł swój wyraz w projekcie legitymowania się olimpijczyków paszportami przed każdą konkurencją, na dowód przynależności do danego państwa. Wzajemna nieufność państw, biorących udział w igrzyskach — to dalsza ciemna plama na horyzoncie olimpijskim.

W St. Moritz rozgrywki olimpijskie są w pełnym toku i trudno przewidzieć, jakie jeszcze mogą tam nastąpić niespodzianki, ale już dziś należy stwierdzić, że atmosfera olimpijska została zakłócona incydentami, wobec których na drugi plan schodzą brutalne wybryki graczy w meczach hokejowych, ujawniające się nawet w rękoczynach, czy zamachach na autorytety sędziów.

Wypadki na arenie olimpijskiej w St. Moritz są odzwierciadleniem sportu światowego, który, z przykrością należy stwierdzić, cofnął się o duży krok od idei, która winna przyświecać sportowi.

Wiadomości jakie przyszły z Budapesztu o pobycie naszych sportowców na imprezach w ramach „Tygodnia Polskiego na Węgrzech", są dalszym dowodem że sport międzynarodowy wszedł na złą drogę. Bokserscy sędziowie węgierscy nie zdali egzaminu bezstronności i skrzywdzili nasz zespół, a wymownym tego dowodem jest opinia jednej z gazet węgierskich według której: „Zawodnicy nasi (węgierscy — przyp. nasz) muszą teraz wstydzić się za swoich sędziów".

W meczu koszykówki sędziowie węgierscy manipulowali zegarem w taki sposób że skrócili czas zawodów, bo było to potrzebne do tego, aby drużyna polska nie wygrała spotkania.

Jeśli dodamy do tego że zachowanie się publiczności węgierskiej było skandaliczne — jak to określił jeden z korespondentów polskich — będziemy mieli obraz imprezy, która nosiła nieuzasadniony, jak się okazało, tytuł „Tygodnia Polskiego na Węgrzech".

Mniej takich „tygodni" i mniej takich olimpiad, gdyż w przeciwnym razie przestaniemy wierzyć, że sportowi przeznaczono doniosłą rolę w wychowaniu człowieka.

Zygmunt Weiss

POZNAJMY NASZYCH ARTYSTÓW

M. Dobrowolska-Gruszczyńska

Maria Dobrowolska - Gruszczyńska obdarzona prześlicznym sopranem liryczno - koloraturowym po ukończeniu studiów śpiewaczych pierwsze tony wyśpiewała w radio warszawskim w r. 1938. W lecie r. 1939 będąc na wywczasach w Rumunii dała szereg koncertów w Bukareszcie i Czerniowcach odnosząc taki sukces, że na sezon 1939—40 zostaje zaangażowana do opery bukareszteńskiej. W końcu sierpnia wraca do Warszawy, by się przygotować do wyjazdu i tu zastaje ją wojna. Oczywiście pozostaje już w Warszawie, gdzie w ciągu długich lat okupacji śpiewa często na konspiracyjnych zebraniach i koncertach i czasem oficjalnie w kawiarniach SiM, U Aktorek i u Woytowicza.



Po zakończeniu wojny mimo, że sama jest tak młodą śpiewaczką zostaje profesorem szkoły im. Szopena i szkoli niewiele młodsze od siebie uczenice. Od czasu do czasu wyjeżdża na koncerty na Ziemie Odzyskane a w bieżącym sezonie zostaje zaangażowana do opery warszawskiej, gdzie śpiewała Halkę, obecnie podziwiamy ją w „Sprzedanej narzeczonej" — Smetany, a w najbliższym czasie usłyszymy ją w „Cyganerii" — Pucciniego, która już wkrótce wejdzie na scenę opery.



Fot. Film Polski

„Rewizor" Gogola, w reżyserii St. Perzanowskiej grany z dużym powodzeniem w Teatrze Nowym w Warszawie, przy stale zapełnionej widowni

LUDZKOŚĆ WOBEC CZŁOWIEKA I ZWIERZĘCIA

„Oczom tego psa, ludzką piękność nadaje to, że są one kolejno to żywe i uśmiechnięte, to poważne i że przez nie przemawia mała milcząca duszyczka. Jest to dusza myśląca; myślom jej nie brak głębi i trwałości.

...Bez wątpienia, odtąd poznałem świat z punktu widzenia, z którego on (pies) nie pozna go nigdy. Ale z punktu widzenia prawdy absolutnej powiedzieć można, że moja znajomość świata tak jest mała, że równa się w zupełności tej, którą on posiada. I jedna i druga jest punktem geometrycznym wśród nieskończoności".

(Anatol France. Pierścień z ametystem).



Przetrzebiony przez człowieka miś — największy ze ssaków europejskich żyjących jeszcze w stanie dzikim

Niniejszy numer „Tygodnia" poświęcony został w pewnej części przyjaźni dla zwierząt. Okładkę zdobią zniewalająco fotogeniczne podobizny fauny domowej. Na okładce napis — „Przyjaźń dla zwierząt, miernikiem kultury człowieka". Sądzę, iż inicjatywa „Tygodnia" podkreślenia i aktualizacji naszej przyjaźni dla czworonożnych współmieszkańców globu ziemskiego jest właśnie wskazana i właśnie żywotna w okresie, jaki przeżywamy. Ostatnia wojna odznaczyła się conajmniej jedną cechą wyróżniającą: było nią zapomnienie o prawach i względach ludzkich dawniej nieodłącznych od wszelkiego zorganizowanego działania normalnej społeczności.

Skoro te zasady i te względy podeptano w najbardziej brutalny i krańcowy sposób, to cóż mówić o przypominaniu sobie tak bardzo zdawałoby się drugorzędnych elementów tego, co nazywamy człowieczeństwem, jak przyjaźń dla młodszej braci naszego rodzaju. A kto wie, czy nie najbardziej słusznym byłoby mniemanie, iż przyjaźń dla zwierząt jest cechą właśnie najbardziej człowieczą z uwagi na tajemnicze więzy łączące człowieka z tzw. stworzeniem.

Znakomici zoologowie twierdzą, iż między różnymi gatunkami zwierząt dawno już dokonał się pewnego rodzaju podział. Te, które miały wrodzony pociąg do obcowania z człowiekiem, służenia mu i zaprzyjaźnienia się z nim, od dawna zostały oswojone. Inne, niezależne z natury, pozostały ozdobą lasów, stepów i pustyń, ustępując ze świata w miarę zawłaszczania go przez zachłannego człowieka. Stanowisko pośrednie zajmuje kot, który zachował pozycję zwierzęcia niezależnego, współżyjąc z człowiekiem, stworzył tedy stan symbiozy, służąc człowiekowi tylko o tyle, o ile mu się to podoba.

Na czym polegał ów tajemniczy głos, który kazał niektórym zwierzętom podporządkować się woli i rozkazom człowieka, służyć mu a nawet go rozumieć? Każdy, ktokolwiek miał swego własnego psa wie o tym dobrze, że ten pies rozumie niemal mowę swego pana, a nawet więcej, bo rozumie znaczenie jego gestów, jego nastroje a nawet bodaj—tu już wkraczamy w dziedzinę legend — potrafi przeczuć jego los. Doświadczony kawalerzysta (ci już są na wymarciu wobec postępu motoryzacji) i każdy rolnik (w rolnictwie koń staje się anachronizmem), potrafi odróżnić indywidualną fizjonomię swego konia w całym tabunie innych koni. Wie również dobrze, iż jego koń rozumie rozkazy swego pana wydawane słowami, nieobecny mu jest przeto język ludzki. Pewien dyrektor ogrodu zoologicznego, z którym rozmawiałem wielokrotnie podzielił się ze mną swymi spostrzeżeniami, dotyczącymi reagowania zwierząt na ludzką mowę. Stwierdził on, iż najłatwiej jest oswoić dzikie zwierzę właśnie przemawiając doń. Wiedzą o tym chłopi i woźnice, którzy mają zwyczaj rozmawiania z końmi. Jest to zwyczaj bynajmniej nie wynikający z naiwności czy prostoty, ale z głębokiej i odwiecznej znajomości natury zwierzęcia. Tenże dyrektor ogrodu zoologicznego zalecił podległym mu funkcjonariuszom „rozmawianie" ze swymi pupilami. Wiedział, iż na tej drodze dzikie zwierzęta najłatwiej się oswoją i przyzwyczają do swych opiekunów.

Z tych spostrzeżeń wynika wniosek nawskroś uderzający. Najbardziej ludzki element człowieczeństwa — mowa staje się najskuteczniejszym łącznikiem pomiędzy człowiekiem i nieznaną, z trudem zrozumiałą dla nas istotą zwierzęcą. I dalszy wniosek, im bardziej będziemy rozumieli



Goryl — rzadki już dziś okaz mieszkańca dżungli afrykańskiej

zwierzęta, im bardziej potrafimy współczuć ich cierpieniom i życiu, tym bardziej sami staniemy się ludźmi. Tego właśnie, teraz, kiedy wyszliśmy z okresu podeptania najelementarniejszych praw ludzkich potrzeba nam dla naszego własnego dobra.

M.

BOGDAN BRZEZIŃSKI

KACZKA

Pewien kaczor emablował
Nadobną kaczuszkę
Przechadzali się nad wodą
Razem, nóżka w nóżkę.

Wkrótce potem stare kaczki,
Płynąc z prądem wody,
Jęły plotki opowiadać
O tych dwojgu młodych.

Jedna rzekła: — kwa! Uwagę
Zrobić nie zawadzi,
Że ta młoda, ładna kaczka
Kiepsko się prowadzi!

Druga na to: — Mam ja, wierzcie
Doświadczenie spore:
Ona będzie miała wkrótce
Jajko z tym kaczorem!

Trzecia, bardzo stara kaczka,
Była dość poczciwa.
Więc się tak do dwóch plotkarek
Łagodnie odzywa:

— kwaa, kwaa, plotki nie na miejscu!
Może nieboraczka
Jest niewinna? Może to jest
Tylko zwykła kaczka?

Ze względów technicznych dalszy ciąg artykułu „Elektrony zrobiły przewrót w mikroskopii" zamieścimy w następnym numerze.

Higiena i ZDROWIE

O leczniczym działaniu lampy kwarcowej i tranu

Naświetlanie dzieci lampą kwarcową jest właściwie od dawien dawna znanym postępowaniem leczniczym, będącym tylko pewną modyfikacją starej metody, ulepszonej przez postęp wiedzy lekarskiej i techniki. Tak dawniej jak i obecnie dzieci z „chorobą angielską" (krzywica) i „skrofulicznymi gruczołami" wysyłano nad morze nie po to tylko, by je tam kąpać w słonej wodzie, lecz głównie dla naświetlania promieniami słonecznymi, które na wybrzeżu morskim — wskutek odbijania od piasku i fal— znacznie silniej operują niż gdziekolwiek indziej. Poza tym stosowano również z pożytkiem dla dzieci kurację na wysokogórskich stacjach klimatycznych. Kuracje te jednak nie mogły się cieszyć zbyt wielką popularnością, ze względu na stosunkowo wysokie koszty, jakie za sobą pociągały. Przy dzisiejszych postępach nauki, kuracja powietrzem wysokogórskim udostępniona została dla wszystkich, dzięki lampom kwarcowym, które — jak wiadomo — wytwarzają sztuczne górskie promienie słoneczne.

Największe zastosowanie ma lampa kwarcowa w dziedzinie lecznictwa dzieci dotkniętych krzywicą.

Promienie pozafioletowe wytwarzane w lampie kwarcowej nie tylko leczą, ale i zapobiegają występowaniu objawów krzywicy w wieku niemowlęcym. Krzywica może być uleczona również zwykłym tranem, ale tylko w tym wypadku, o ile dziecko będzie równocześnie na odpowiedniej diecie. Wiemy o tym, że dzieci eskimosów, wychowujące się podczas długiej podbiegunowej nocy — a więc bez światła — naogół nie zapadają na krzywicę nóg, gdyż zwyczajem tych polarnych szczepów jest podawanie tranu karmiącym matkom lub też bezpośrednio doustnie dzieciom.

Przypomnieć należy, że pierwszym, który podniósł i odpowiednio uzasadnił znaczenie słońca i światła, jako czynników przeciwkrzywicowych, był Polak Raczyński, który tuż przed pierwszą wojną światową na Kongresie Pediatrycznym w Paryżu, podał swe obserwacje do wiadomości publicznej.

Lampa kwarcowa ma również zastosowanie przy leczeniu tężyczki, gruźlicy dziecięcej w rozmaitej postaci (gruczołów oskrzelowych, brzusznych, jelitowych, skóry, stawów, egzemy), ale to już należy do decyzji lekarza określającego wskazania lecznicze. Lampa kwarcowa stosowana jest ponadto przy leczeniu astmy dziecięcej, o ile powstała ona na tle neuropatycznym.

Wciąż poszukująca myśl naukowa ustaliła także, że głównym czynnikiem działającym przeciwrachitycznie jest tzw. ergosteryna, znajdująca się w substancji chemicznej cholesterynie, jak również w niektórych grzybach i drożdżach. Wkrótce po ustaleniu tego faktu ukazały się w aptekach preparaty zawierające ergosterynę naświetlaną lampą kwarcową i której rozczyny skoncentrowano, potęgując w ten sposób działanie samego przetworu.

Leczenie tranem, czyli wprowadzenie do ustroju dziecięcego witaminy A i D jest w ogóle równorzędne z naświetleniami.

Zima jest najodpowiedniejszą porą do zasilania organizmu dziecka wymienionymi witaminami, bowiem źródło energii życiowej — słońce rozpromieni się dopiero pełnym blaskiem w porze letniej. Zanim ten „słoneczny lekarz", obejmie opiekę nad dzieckiem pamiętajmy o lampie kwarcowej i tranie.

Dr med. B. M

POTĘGA ZABOBONU

głośne na zachodzie Europy procesy czarownic zaczęły się tam znacz nie wcześniej, niż u nas, w Polsce, i przybrały u zachodnich sąsiadów zastraszające rozmiary. W Niemczech na przykład, stracono w okrutny spo sób w ciągu paru lat kilkadziesiąt tysięcy kobiet. posądzonych o zaprzedanie duszy diabłu.

Rzadkie jeszcze w XVI wieku wypadki pławienia i palenia czarownic w Polsce powtarzają się już coraz częściej w XVII i XVIII-ym stuleciu. Trudno jest ustalić dokładnie liczbę ofiar zabobonu. W każdym razie w okresie trzech wieków liczba ta nie przekroczyła kilku tysięcy, podczas gdy w Niemczech w tym samym okresie czasu można mówić o setkach tysięcy.

Tyle, że u nas te potworne procesy zaczęły się mnożyć i osiągały swe najwyższe liczby wówczas, kiedy w innych krajach należały już do niesławnej przeszłości.

Grad, pomór na bydło, suszę i inne klęski, które spadały na polską wieś — wszystko to przypisywano czarownicom.

Złośliwe oskarżenie przez zawistną sąsiadkę było nieraz wystarczającym powodem do wdrożenia skomplikowanego procesu, zakończonego torturami i spaleniem oskarżonej na stosie. Najczęściej sołtys lub podstarości przekazywał sprawę najbliższemu sądowi miejskiemu, który zjeżdżał do wsi, celem przeprowadzenia śledztwa. Zaczynało się od tzw. pławienia skrępowanej powrozami ofiary w rzece lub stawie. Jeżeli oskarżona tonęła, uważało się, że posądzenie jest niesłuszne, natomiast utrzymanie się pławiącej na powierzchni wody (co przy nasiąkających powoli wodą suchych, obszernych sukniach i spódnicach zdarzało się najczęściej) uważano za dowód, świadczący o stosunkach z diabłem. Wtedy przystępował do dzieła kat, który przy zastosowaniu wyrafinowanych tortur wymuszał na oskarżonej przyznanie się do winy i wydanie wspólniczek. Półobłąkane z bólu kobiety przyznawały się do wszystkich stawianych im zarzutów i podawały nazwiska Bogu ducha winnych współuczestniczek rzekomych czarów. Na tej podstawie sąd ogłaszał wyrok, nakazujący spalenie czarownicy na stosie, a równocześnie pociągał do odpowiedzialności nowe ofiary, wskazane przez storturowaną kobietę. Los ich był z góry przesądzony, gdyż jeśli nawet znalazłaby się niewiasta o takiej wytrzymałości fizycznej i nerwowej, która (oskarżona) zniosłaby bez przyznania się do winy zadane jej męki, było to również dla sądu dowodem czarów diabelskich, które rzekomo dały czarownicy moc wytrwania, względnie zdolność nieodczuwania bólu.

Według protokółu rozprawy przed sądem wójtowskim w Pyzdrach z dn. 4 maja 1699 roku zaprzysiężony uroczyście świadek oskarżył Annę Ratajkę, pracowitą (urzędowe określenie stanu chłopskiego), o spowodowanie śmierci jego syna przy pomocy czarów.

Wzięta na pierwsze tortury Ratajka nie przyznała się do niczego. Dopiero na drugich torturach przyznała się do winy i wydała jeszcze trzy wspólniczki — czarownice, z którymi bywała na Łysej Górze na godach z szatanami. Jedna z nich, Korfunka, miała robić z koszul trupich i z żab niszczycielskie proszki, którymi przyprawiała o śmierć ludzi i zwierzęta, wstrzymywała deszcz itp. „A co większa opisać a straszliwa wymówić, niebo i ziemia się lęka i drży, Najświętszy Sakrament Ciała i Krwie Chrystusowej na odpuście w Biechowie ukradła, na proszek spaliła. którym plon w zbożach odejmowała".

Sąd pyzdrski „dekretem swoim na kazał, aby (wszystkie cztery czarownice) z tego mizernego świata, jaka robota, taka zapłata, ogniem były zniesione i na stosie spalone. Zachowując tę kondycję Jagacie, aby wprzód ręce obydwie jej po kikut smołą i siarką polane w górę wzniesione były i tak gorzały za to, iż się ona rękoma ważyła dotykać Najświętszego Sakramentu".

Ostatni w Polsce wielki proces czarownic odbył się w 1775 roku we wsi Doruchów, w powiecie ostrzeszewskim, w dawnej ziemi wieluńskiej. Ofiarą jego padło czternaście kobiet. Relację z tego makabrycznego procesu ogłosił drukiem jeden z naocznych świadków („Przyjaciel Ludu" 1835 r. t. II).

Świadek ów, siostrzeniec miejscowego plebana, miał wówczas osiem lat. Pewnego wieczoru usłyszał okrzyki w pobliżu probostwa. Na indagację plebana wyjaśnił obecny tam podstarości: „Z rozkazu pana pojmujemy czarownice".

Nazajutrz ksiądz po odprawieniu Mszy św., udał się do dziedzica, usiłując odwieść go od karania niewinnych kobiet, lecz nic nie wskórał. Wobec tego wyprawił się niezwłocznie do Warszawy, aby wyjednać u króla ułaskawienie.



Rys. St. Rozwadowski

Wzięta na pierwsze tortury Ratajka nie przyznawała się do niczego.

Tegoż samego dnia pławiono, oskarżone o czary kobiety, w stawie. Naszemu świadkowi udało się w towarzystwie starszego syna dziedzica wypłynąć łódką na środek stawu.

Kobiety ze skrępowanymi rękami wprowadzano na pomost, skąd czterech mężczyzn opuszczało kolejno mniemaną czarownicę do wody na powrozie przeciągniętym pod pachami. Żadna z nich nie tonęła. Wówczas dziedzic na koniu, przypatrujący się z brzegu tym próbom, wołał: „Nie tonie! Czarownica!".

Były to sakramentalne słowa, uprawniające do tortur.

Oskarżone zostały zamknięte w spichrzu. Korzystając ze znajomości z synem podstarościego nasz ciekawski ośmioletni świadek zdołał i tam dotrzeć. Ujrzał kobiety w beczkach z wyrżniętymi otworami, przez które przeciągnięto ręce i nogi nieszczęsnych ofiar tak, że mogły one utrzymać się tylko na klęczkach i w tej pozycji oczekiwały na egzekucję. Każda beczka obciągnięta była grubym płótnem z napisem: Jezus! Maria! Józef! — aby diabli nie mieli dostępu i nie uwolnili swych oblubienic od zasłużonej kary.



Rys. St. Rozwadowski

Na koniu w lansadach objeżdżał w roli wielkiego inkwizytora...

Zadanych następnie kobietom tortur opisać nie podobna.

Trzeciego dnia zaczęto z rozkazu dziedzica zwozić z lasu sosny smolne drwa, smołę i słomę i wznosić stos na wysokość kilkunastu łokci. Dwóch katów, trzech sędziów z Grabowa (bowiem każde niemal miasteczko miało tzw. prawo miecza) i trzech zakonników wyznaczono do dysponowania na śmierć czternastu skazanych czarownic. Dziedzic pełnił funkcję wielkiego inkwizytora.

Po wzniesieniu stosu przywieziono storturowane ofiary na drabiniastych wozach i wciągnięto skazane na stos.

Tłumy ludzi brały udział w tym makabrycznym widowisku.

Ustawieni dokoła stosu mężczyźni z pochodniami, na rozkaz sędziego: „Pal!" wzniecili ogień i stos stanął w płomieniach.

Wtedy dopiero tłum zaczął się oburzać i wznosić okrzyki przeciwko wykonawcom egzekucji, a w szczególności — przeciwko dziedzicowi, który na koniu w lansadach objeżdżał w roli wielkiego inkwizytora płonący stos.

Ponieważ okrzyki i groźby przybierały na sile, zaniepokojony dziedzic uznał za wskazane opuścić miejsce egzekucji i odjechał pośpiesznie.

Stos płonął całą noc.

Nazajutrz wrócił z Warszawy pleban z królewskim ułaskawieniem, niestety, za późno.

Takiego rodzaju sądy i egzekucje zapisały się w kronice ciemnogrodzkiej czasów Oświecenia, mogących się równocześnie poszczycić Collegium Nobilium, Szkołą Rycerską, Komisją Edukacyjną i głośnymi obiadami czwartkowymi u króla Stasia, który ponosił ekspensa... „dowcipu, wiadomości i wina i mięsa".

Jak zaznaczyliśmy, nie należeliśmy w Europie do wyjątków. Zdarzyło się, że nawet jeszcze w 1782 r. spalono w Szwajcarii „ostatnią czarownicę".

Nasze oświecone koła społeczeństwa zareagowały jednak w odpowiedni sposób na zbrodnię doruchow ską. W następnym 1776 roku została powzięta uchwała sejmowa, która znosiła tortury i zabraniała wymierzania kary śmierci za rzekome czary.

Władysław Rymkiewicz i Bohdan Tuhan

Pierwszy występ Jaracza

w Warszawie

Było to w r. 1912. Adolf Nowaczyński napisał wtedy „Boga wojny" i szukał aktora, który by mógł zagrać tytułową rolę. Jakoś nie podobał mu się żaden aktor w Warszawie, odpowiedni do roli Napoleona w jego sztuce, natomiast znalazł go w osobie Stefana Jaracza, młodego aktora w teatrze łódzkim pod dyrekcją Zelwerowicza, ale głośnego w całej Polsce z wielkiego talentu, predystynowanego do roli Napoleona także ze względu na warunki zewnętrzne.

Nowaczyński umiał to przeprowadzić, że ówczesny prezes teatrów rządowych Małyszew, zaprosił Jaracza na gościnne występy do Warszawy. Gdy się o tem dowiedziano, wśród aktorów zawrzało. Niesłychana rzecz, ażeby prowincjonalny aktor występował gościnnie w „Rozmaitościach". Tego nie było od początku świata. Ludzie pozostający w bliższych stosunkach ze sferami teatralnymi, zapowiadali głośno, że na premierze będzie skandal.

Premiera odbyła się w Bagateli, do kad co rocznie na sezon letni przenosiły się „Rozmaitości". Publiczność nie była wprawdzie ta sama, co publiczność na premierze w „wielkim" sezonie, ale jednak była to publiczność premierowa, która miała swoje kontakty z kulisami, a Warszawa żyła wtedy teatrem. Z niecierpliwością oczekiwano podniesienia kurtyny.

W pewnym miejscu jest w sztuce taka scena: cesarz (Jaracz) mówi coś do kamerdynera Constant'a (Wincentego Rapackiego), a kamerdyner zamiast słuchać go uważnie jak z roli wynika, w trakcie tego odwrócił się do niego plecami. Kamerdyner do cesarza.., ale Jaracz nie stracił przytomności umysłu, silnie chwycił obiema rękoma Rapackiego za ramiona i z powrotem odwrócił go twarzą do siebie.

Publiczność, która była w całym tego słowa znaczeniu teatralną, zauważyła wszystko i nagrodziła Jaracza hucznymi oklaskami. Od tej chwili już nikt nie robił Jaraczowi kawałów na scenie, przedstawienie składnie przebiegło do końca, a Jaracz w jednej chwili stał się popularnym w Warszawie. Zdobył Warszawę, ale też rola Napoleona była przez całe życie jego rolą popisową.

OPERACJA

JANUSZ MEISSNER

(Ciąg dalszy)

— Niech pani już idzie się umyć — powiedział półgłosem. Tę kliszę wstawi pani w ramę przed boczną lampą, żebym mógł w każdej chwili ją obejrzeć. No — skoro już zaczęliśmy tę komedię — niechże pani pamięta, że teraz dla wszystkich jestem profesorem Russerem.

— Dla wszystkich z wyjątkiem Vorbecka — poprawiła. Dla niego niech pan będzie doktorem Grudniem. On musi żyć i musi wyzdrowieć.

Doktór Grudzień skinął głową obecnym i od razu podszedł do stołu.

Rzucił okiem na pole operacyjne: brązowe od jodyny, dobrze napięta skóra lędźwi, obramowana białymi kompresami. Sięgnął po skalpel, który podała mu siostra Eustachia i odwrócił się, aby raz jeszcze spojrzeć na zdjęcie.

Maria pomyślała, że maska nie zakrywa jego czarnych, lśniących włosów nad karkiem. Russer był mocho szpakowaty...

— Nikt przecież tego nie zauważy — pomyślała.

Grudzień patrzył na kliszę. Wreszcie pochylił się nad rannym i delikatnie zaznaczył linię cięcia odwrotną stroną ostrza. Odłożył skalpel, wziął z rąk Marii strzykawkę, pewnym ruchem wbił igłę w mięsień, nacisnął tłoczek. Siostra Eustachia już podawała mu drugą strzykawkę napełnioną novocainą. Potem — trzecią i czwartą.

— Dość — mruknął. — Kozik.

W Marii zamarło serce: profesor zawsze mówił — „nóż", „kozik" — to było wyrażenie używane wyłącznie przez Grudnia.

Ale ani Ochocki, ani siostra Eustachia nie zwróciły na to najmniejszej uwagi. Skalpel błysnął odbiciem światła; zatoczył półkole otwierając skórę i gruby pokład różowego, gruzełkowatego tłuszczu.

Ochocki wytarł krew, uchwycił dwa, czy trzy naczynia. Zgrzytnęły zaciskane kochery. Tymczasem Grudzień już oddzielał mięśnie od kości wzdłuż kręgosłupa, a Maria przygotowywała tampony z gazy.

Przeszedł na drugą stronę stołu operacyjnego i stojąc obok Grudnia odciągnął mięśnie.

Maria nie śmiała na niego spojrzeć: dotykali się łokciami, ich ręce krzyżowały się raz po raz i głowy pochylały się razem nad polem operacyjnym. Ochocki oddał jej haki, żeby zacisnąć jeszcze kilka obficie krwawiących naczyń.

Grudzień pracował w milczeniu. To ją trochę uspokoiło: głos mógł go zdradzić najłatwiej.

Po chwili Ochocki znów przeszedł na jej stronę. Korzystając z tego sama sięgnęła po dłuto i młotek, aby je podać Grudniowi. Oczy ich spotkały się.

Wydało jej się, że dostrzega w jego spojrzeniu zachętę do wytrwania.

Szybko zmieniła tampon nasiąkły krwią. W ciszy rozległy się tępe uderzenia młotka i towarzyszący im pobrzęk kocherów. Dłuto żłobiło kość raz przy razie, równo i niezawodnie. Ochocki z zapartym tchem śledził tę robotę, nie odrywając wzroku od ostrza, które zagłębiało się coraz bardziej.

— Ależ on ma wyczucie! — pomyślał z podziwem.

Ilustrował Wacław Siemiątkowski

Wtem ranny jęknął i poruszył się. Przez jego grzbiet przeszły drgawki. Nagle szarpnął ramionami i zaczął się rzucać.

— Rausz — powiedział półgłosem Grudzień, odwracając głowę.

Siostra Felicja sięgnęła po maskę. Zapachniało eterem. Jęk ustał. Nierówny chrapliwy oddech Vorbecka przeszedł w ciche sapanie. Pęcherz nad niklową kulą respiratora wydymał się i opadał u wezgłowia stołu. Spod drzwi podniosły się strwożone szepty dygnitarzy i umilkły pod surowym spojrzeniem Marii.



Grudzień pracował w spokoju. To ją uspokoiło.

Doktora Ochockiego po raz pierwszy uderzył dziwny ton głosu profesora.

— Ma tremę — pomyślał.

Obrzucił go badawczym spojrzeniem, ale w tej samej chwili Maria dotknęła jego ramienia, więc zwrócił się ku niej.

— Szczypce Luera? — zapytała szeptem.

Wzruszył ramionami. I ona także denerwowała się dzisiaj: zadawała mu pytania, które powinna była skierować do profesora.

— Luer z małym pyskiem — powiedział Grudzień.

Podano mu lśniące niklowe nożyce o krótkich szczękach, poruszanych skomplikowanym czteroosiowym zespołem dźwigni.

— Rozszerzyć — warknął do Ochockiego.

Zaczął ciąć oddłutowaną ściankę kanału rdzeniowego. Kość chrupnęła miękko w potężnych kleszczach otwierała się coraz szersza szczelina, w której widać było oponę rdzenia i ciemniejący pod nią krwiak.

Delikatne podłużne cięcie skalpelem i —

— Gazy!

Maria ostrożnie odciągnęła brzegi opony. Grudzień usuwał lepkie gruzełki zakrzepłej krwi. Każdy ruch jego silnych wygimnastykowanych palców był celowy, zdecydowany, pewny.

Potem sięgnął po mały hak, który podała mu niezawodna siostra Eustachia, wsunął go pod biały rdzeń i odciągnął na bok. Wszyscy wstrzymali oddech: życie senatora Vorbecka zależało od tych sekund, które teraz zaczęły mijać; jeden nieostrożny ruch mógłby je przerwać; drobne odchylenie o parę milimetrów stanowiło o katastrofie.

Rdzeń powoli wyłonił się z kanału kręgosłupa.

— Nieuszkodzony, kolego — powiedział Grudzień. — Proszę o kocher.

Ochocki patrzył na niego osłupiały, z na pół otwartymi ustami.

— Co pan... Pan nie jest... Co to za mistyfikacja?!

Maria zbladła, zrobiło jej się słabo. Co się teraz stanie?... Wszyscy patrzyli na Grudnia, który ani na sekundę nie odwracał oczu od swej roboty.

W wewnętrznej ściance kanału kręgowego sterczała tępa głowica kuli...

Pytanie Ochockiego zawisło w ciszy; napięcie zdawało się rozsadzać ściany: lada chwila milczenie pęknie i wysoki strop runie do wewnątrz!

— Proszę o kocher — powtórzył spokojnie Grudzień i siostra Eustachia pierwsza pozbyła się tego strasznego uczucia nabrzmiewającego kataklizmu.

— Niechże kolega uważa — powiedział znów Grudzień. — Na wyjaśnienia będzie czas po zabiegu.

Ale Ochocki nie mógł pohamować wzburzenia:

— Pan nas podszedł! Pan jest...

Grudzień na próżno usiłował wyciągnąć kulę przy pomocy kochera: ząbkowe szczypczyki obsuwały się po jej stalowym pancerzu. Kornzang też się do tego nie nadawał. W dodatku Ochocki opuścił hak, który z hałasem spadł na kamienne płyty podłogi.

— Albo kolega będzie mi nadal spokojnie asystował, albo proszę wyjść — szepnął Grudzień. — Tu chodzi o życie ludzkie — dodał półgłosem.

Ten argument wreszcie trafił do przekonania chirurga. Ochocki powiedział:

— Pan będzie za to odpowiedzialny — i umilkł.

Nowy hak. Jeszcze jedna nieudana próba z kornzangiem. Grudzień zniechęcony odrzucił błyszczący instrument.

— Siostro, łyżkę chirurgiczną niech mi siostra da!

Teraz kula drgnęła. Wysuwa się wolno z miękkiej, gąbczastej tkanki kręgu. Jest!

Grudzień obejrzał ją uważnie ze wszystkich stron, po czym rzucił do emaliowanej „nerki". Uśmiechnął się do Marii, która patrzyła na niego z niepokojem.

— Niech pani to koniecznie jutro wręczy senatorowi — powiedział lekko. — Taka kula, to rzadka pamiątka!

Potem do siostry Eustachii:

— Siostro, cienki catgut na igle jelitowej!

I do Felicji:

— Jak tam tętno? Dać mu coraminy.

W jego głosie można było wyczuć odprężenie: był jasny, niemal wesoły.

Igła raz po raz chwytana zręcznie imadłem znaczyła ścieg na oponie. Grudzień spojrzał na zegar. Od chwili rozpoczęcia operacji upłynęło dwadzieścia trzy minuty. Miał ochotę gwizdać i śmiać się, ale uświadomiwszy to sobie, zmarszczył brwi. Co za dzikie pomysły!

Szew kości i mięśni.

— Zaprzestać narkozy.

Szew skóry.

— No — gotowe! A jak tam ta rana wlotowa?

Rana wlotowa tuż nad kością biodrową, była już opatrzona przez doktora Ochockiego: zwykły opatrunek z sulphatiazolem.

— Wystarczy. Panie Wincenty, odwieźć rannego i niech tego drugiego dają na stół.

Maria krzątała się wraz z sanitariuszami. Doktór Ochocki odszedł od stołu z instrumentami i niecierpliwie zdzierał czerwone od krwi jedwabne rękawiczki, aby naciągnąć świeżą parę.

Szczupły wysoki pan w otoczeniu wojskowych zbliżył się do Grudnia.

— Jaki wynik, panie profesorze? Czy senator będzie żył?

— Będzie żył, panie ministrze. Wydaje mi się, że nie ma niebezpieczeństwa. Ale ja nie jestem...

Maria przerwała mu nieco zbyt obcesowo, ku lekkiemu zgorszeniu obecnych:

— Separatka siódma, panie doktorze?

Grudzień ze zniecierpliwieniem odwrócił się ku niej i spotkał jej oczy pełne triumfu. To spojrzenie sparaliżowało go na chwilę. Ale — chciał z tym skończyć: maskarada przeciągała się ponad wszelką miarę. Tylko, że ta dziewczyna działała szybciej niż on: „najmocniej przepraszała" pana ministra, ale — „ranny ma pierwszeństwo"... Pan minister wycofał się pod ścianę.

Tymczasem wjechał wózek z tym drugim. Głowa i twarz w bandażach, nasiąkłych krwią. Poszarpane, pokryte błotem strzępy ubrania.

— Dlaczego nie rozebrany? — spytał Grudzień.

Wincenty zwlekał z odpowiedzią.

— On zdaje się nie żyje, panie profesorze — wtrącił się jeden z sanitariuszy.

Grudzień przyglądał się uważnie rannemu.

— Niech siostra zdejmie opatrunek — powiedział szybko. — Kto to jest? Jeden z oficerów wyjaśnił, że ten nieszczęśliwy znalazł się tuż obok senatora w chwili wybuchu bomby; właściwie gdyby nie on, Vorbeck zostałby tym wybuchem zabity. Zaraz potem padły strzały.

— Ale kto to jest? — powtórzył pytanie minister.

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć. Ranny nie miał przy sobie żadnych dokumentów, nie udało się ustalić nazwiska.

Grudzień wziął ze stolika słuchawki. Uważnie i długo badał serce. Nie biło już. Spojrzał jeszcze na okropną ranę czaszki i zmasakrowaną twarz, która ukazała się spod rozciętych przez siostrę Felicję bandaży. Zagryzł wargi.

— I cóż, panie profesorze? — zapytał minister.

Grudzień rozwiązał tasiemki na karku i wolno zdjął maskę gazową z twarzy. Był blady i bardzo przejęty. Dopiero po chwili powiedział:

— Nie jestem profesorem, panie ministrze.

Maria oparła się o ścianę, Ochocki uśmiechał się pogardliwie, siostra Eustachia z wypiekami na twarzy dyszała ciężko, a siostra Felicja zakryła dłońmi oczy. Obaj wojskowi powstali z miejsc. Ambasador nerwowo przecierał okulary. Minister nie mógł opanować zdumienia.

— Co takiego?

— Nazywam się Grudzień. Byłem asystentem profesora Russera.

— Gdzież w takim razie jest profesor?!

Doktór Grudzień spojrzał na stół operacyjny.

— Tam — powiedział poważnie. — Niestety rzeczywiście już nie żyje, panie ministrze.

*

Nazajutrz był wtorek — dla Marii dzień wolny, ale Grudzień miał nadzieję, że ją zobaczy: mogła przecież zainteresować się stanem zdrowia senatora Vorbecka.

Nie było jej; nawet nie telefonowała. Zresztą dzienniki pełne były wiadomości o Verbecku i o udanej operacji. Nazwisko doktora Grudnia powtarzało się na wszystkich szpaltach.

W środę — nowa sensacja: dr Grudzień został naczelnym dyrektorem kliniki; otrzymał wysokie odznaczenie polskie i zagraniczne.

Z Ambasady i Prezydium Rady Ministrów dzwonił do lekarza dyżurnego, pytając „co słychać" i czy wszystko w porządku. Chciał „także" rozmawiać z Marią.

— Nie przyszła.

Po południu przyjechał do kliniki. Odwiedził Verbecka, załatwił jakieś pilne sprawy i zamknął się w swoim gabinecie.

Nie wiedział gdzie Maria mieszka i czy ma telefon. Ale na biurku Russera znalazł spis personelu z tymi danymi. Nakręcił numer i usłyszał wreszcie jej głos.

— Co się z panią dzieje? — zapytał. — Dlaczego pani nie przyszła?

— Piszę pracę dyplomową — odpowiedziała. — Przecież mam być pańską asystentką, panie doktorze!

— No to niech pani odłoży tę pracę, bo ja chcę z panią poważnie porozmawiać. Czy mogę zaraz przyjechać?

— Do mnie?!

— Tak.

— Nie może pan, bo właścicielka mieszkania zrobiłaby mi piekielną awanturę. Jeżeli to coś pilnego, niech pan powie przez telefon.

— Pilnego — tak. Przez telefon — nie. Zaraz jadę.

— Jezus, Maria — co za człowiek! — przeraziła się. — To już lepiej ja przyjdę do kliniki.

— Dobrze — zgodził się. — Posyłam pani Wincentego z samochodem.

W pół godziny potem pukała do drzwi gabinetu.

— Wejść — powiedział swoim zwykłym, opanowanym głosem.

Uścisnął jej rękę na powitanie i prosił, żeby usiadła na tym samym fotelu, co wtedy, gdy miała z nim razem ostatni dyżur.

— Mam do pani prośbę — zaczął.

Popatrzył jej w oczy i zobaczył w nich migające wesołe iskierki. Potem znów ujął jej rękę i przyglądał się jej długim, wąskim palcom.

— Nareszcie wiem, że pani ma ładne ręce — westchnął. — To zagadnienie męczy mnie od dwóch dni.

— Cieszę się, że sprawiłam panu ulgę — powiedziała, wyswobadzając dłoń. — Czy to już wszystko?

— Nie. Chciałem jeszcze prosić, żeby pani została...

— Pańską asystentką — wiem. Właśnie się do tego na gwałt przygotowuję.

— Chciałem prosić, żeby pani została moją żoną — powiedział poważnie.

Spojrzała na niego z wesołym błyskiem uśmiechu.

— Czy pan oszalał?! — zapytała, naśladując jego głos. — Ja miałabym to zrobić?...

— Musi pani to zrobić — odrzekł tym samym tonem — Musi pani to zrobić jak najprędzej: jeszcze przed pracą dyplomową!

— Pan ma poczucie humoru — powiedziała, śmiejąc się. — Ale to sprawa poważna. Nigdy nie wiadomo, jak się taka operacja skończy...

Zamknął jej usta długim pocałunkiem, aż im obojgu zabrakło tchu.

— O-jej, tak bez znieczulenia?... — wyszeptała zdyszana, gdy wreszcie ją puścił.


„Nazywam się Grudzień. Byłem asystentem prof. Russera".

DANTE ALIGHIERI

Upływa blisko 700 lat od urodzenia Dante'go autora „Boskiej Komedii" (La divina Comedia). Czytając wielu późniejszych pisarzy i poetów ma się niejednokrotnie wrażenie rzeczy już przeszłych, obcych, zapomnianych, gdy chodzi o Dante'go, musimy przyznać, że jest w nim coś „istotnego", żywego co nigdy nie przemija.

Prace jego są różnorodne i liczne, najbardziej znaną jest „Boska Komedia". Najbardziej znaną, a jednocześnie najwięcej potrzebującą komentatorów.

Używając celowo alegorii, zmieniając imiona osób działających wówczas na arenie politycznej Florencji. Dante nie zawsze dla dzisiejszego czytelnika może być zrozumiałym, lecz jeśli wyraża swą miłość i tęsknotę za ojczyzną, pragnienie dla niej chwały i wielkości, staje się zadziwiająco jasny, świeży, porywający.

Urodził się w miesiącu marcu 1265 roku we Florencji w rodzinie zamożnej Alighieri. Wychowanie odebrał bardzo staranne. Brunetto Lattini wykładał mu literaturę, filozofię i sztukę pisania. Rysunek prowadzi sławny malarz Giotto i miniaturzysta Oderesini da Gabbio, śpiewu i muzyki uczy Casello.

Dzięki swemu wszechstronnemu wykształceniu Dante wcześnie bardzo wybija się jako mówca i polityk. Sprawuje liczne zaszczytne urzędy, wyjeżdża w poselstwie do papieża, służy radą i orężem w okresie zmagania się wewnętrznego ojczyzny.

Niestety Florencja okazuje się niewdzięczna i gdy wśród walk partyjnych, zwyciężają jego przeciwnicy, zostaje skazany na wygnanie i utratę całego majątku. Następstwem tego wyroku jest tułacze życie. Poniżenie, nie jednokrotnie nędza nie zmienia jednak duszy poety. Pozostaje zawsze wierny swym uczuciom.

„O misera, misera, patria mia
Quanta pieta mi stringe per te".
pisze między innymi.

Podobnie jak Homer pragnie z rozlicznych prowincji stworzyć jeden naród, marzy o ustaleniu powszechnego języka dla całej ziemi włoskiej. W poemacie swym „La divina Commedia". stwarza piekło, by umieścić w nim tyranów, zacietych rebeliantów, którzy niszczą piękny, kwitnący kraj, zraszając go krwią bratnią. W czyśćcu muszą pokutować obywatele nie dość kochający swą ojczyznę. Nakoniec stwarza raj, by mogły odpocząć w nim dusze, pracujące dla „dobra", dusze, umiejące wyzbyć się uczuć zmysłowych, oczyszczone w Królestwie „Rozumu".

Po pierwszym zaraz wydaniu „Boska Komedia" staje się przedmiotem powszechnego uwielbienia. Na ulicach i placach lud śpiewa z niej pieśni, uczeni biorą się do komentowania. Najsławniejszym z nich to Boccaccio, jeden z trzech wielkich pisarzy „trecenta".

La divina Commedia staje się dziełem narodowym. Poeta nie tylko odzwierciedla w nim ludzi swej epoki, ich błędy i cnoty, upadek i podnoszenie się ducha, nie tylko tym zyskuje uznanie, że podnosi na wyżyny język włoski, ale jest jednocześnie przewodnikiem.

Jego wielkoduszność, ukochanie dobra i piękna, chęć przekazania tych cech potomności, przewijają się jak nić złota poprzez całą twórczość. Jeden z biografów Dante'go Giuseppe Maffei twierdzi, że „Boska Komedia" jest jednocześnie i pomnikiem, wzniesionym ku czci Beatrice, pierwszej i jedynej miłości poety.

Boccaccio autor (La rita di Dante) „życia Dante'go" opisuje chwilę poznania tej pięknej, nad wiek poważnej ośmioletniej dziewczynki, Beatrice umiera, mając lat 26, w 1290 roku, lecz „ani śmierć, ani czas, nie mogą zetrzeć z pamięci poety jej obrazu." Ona jest jego natchnieniem, jej poświęca swój pierwszy wiersz, jak i wiele następnych, zebranych później, wraz z sonetami w zbiorniku, pod tytułem „Le kime".

W późniejszym okresie swego życia pisze utwór prozą zatytułowany „Convito" (Biesiada) i po łacinie traktat filozoficzny „De Monarchia". Dowodzi w nim, że władza papieża w sprawach nie tyczących się kościoła, powinna być ograniczona. Śmiałe to wypowiedzenie się stwarza dla Dante'go wielu wrogów, grozi nawet spaleniem wszystkich dzieł mistrza. Nie dochodzi jednak do tego, dzięki obronie obywateli florenckich Pina della Tasa i Ostagia do Polento.

W ciągłych podróżach wygnaniec, Dante, stale wzbogaca swą wiedzę. W Paryżu studiuje czas jakiś filozofię i teologię. Na dworach panujących ma możność poznania zwyczajów, różnice typów i charakterów na koniec mowy. Rozmaitość dialektów po jednej i drugiej stronie Apenin zwraca jego uwagę. Pragnie wybrać i udoskonalić najbardziej poprawny, najwięcej zasługujący na miano języka włoskiego. Wynikiem tych założeń jest dzieło pod tytułem „Volgare Eloquenza", napisane prozą po łacinie. To zdaje się ostatnia praca mistrza.

Gdy nadzieja powrotu do Ojczyzny zawiodła, udaje się Dante do Rawenny na dwór życzliwego dlań, Guila Norella do Polento i tam umiera.

Villani pisze:

„W roku 1321-ym, miesiącu wrześniu, w dzień św. Krzyża, w mieście Rawennie umarł wielki i sławny poeta „Dante Alighieri, rodem z Florencji".

Guido Norello, ceniąc wysoko talent i zasługi osobiste poety, wyprawia mu wspaniały pogrzeb, pragnie wznieść pomnik, godny tak wielkiego człowieka, lecz śmierć przeszkadza mu w dopełnieniu tego zamiaru.

Dopiero w 1483-im roku, z polecenia Republiki Weneckiej, powstaje piękny grobowiec, ozdobiony licznymi napisami i wierszem utworu Dante'go

Florentczycy niejednokrotnie upominali się o zwłoki genialnego poety, lecz nie otrzymali ich nigdy.

Antonina Malewska

Mieczysław Guranowski

100.000 NAGRODY

Riviera Włoska była przed wojną rajem dla spragnionych odpoczynku, różniła się tym od francuskiej, że panował tam prawdziwy spokój. Spędziłem ostatnio przed wojną wywczasy w Gardone Riviera, pięknym zakątku nad jeziorem Garda. Olbrzymi Grand Hotel, zamieszkiwała tego lata niewielka garstka turystów, to też nawiązałem dość prędko kontakty, obiecując sobie, jak zawsze w czasie podróży, poznanie ciekawych ludzi i zdarzeń... Wkrótce — wraz z prokuratorem sądu w Brescii, Marco Lorettim i słynną aktorką Teatro della Valle w Rzymie — Biancą Ginetti stanowiliśmy nieodłączną trójkę.

Urocze były nasze przejażdżki motorówką wzdłuż jeziora Garda aż po Rivę, niezapomniane wieczorne simposiony, na tarasie hotelu przy blasku księżyca, który srebrzył poświatą zielonkawe fale jeziora. Poruszaliśmy różnorodne tematy — czy to z dziedziny historii, czy sztuki, — aż pewnego wieczora, gdy skończyliśmy dysputę nad syntezą Giosue Carducci o pierwiastkach kształtujących włoską literaturę — pani Ginetti zwróciła się z prośbą do prokuratora, ażeby opowiedział jakiś ciekawy epizod z jego działalności zawodowej.

— Musi pan mieć, prokuratorze — mówiła — pokaźny arsenał wspomnień. Interesują mnie one nie z pobudek sensacji, lecz jako aktorkę, a zapewne i pana signor... (wskazała na mnie zabawnie przekręciwszy moje nazwisko) ,jako literata...

Poparłem gorąco prośbę pani Ginetti, lecz prokurator poruszył przecząco głową.

— Nie lubimy opowiadać o sprawach, w których braliśmy udział, nie nasuwają one bynajmniej miłych refleksji. Proszę sprecyzować raczej, jakie zagadnienie was interesuje? Z tematem abstrakcyjnym o podłożu psychologicznym łatwiej mi będzie się uporać.

— A więc, panie prokuratorze — wtrąciłem — proszę nam powiedzieć, czy w typie zbrodniarza nie dopatrzył się pan kiedykolwiek cech ludzkich, znamionujących odruch serca?

— Czy rodzą się oni zbrodniarzami? — podjęła aktorka.

Prokurator Loretti namyślił się chwilę, zapalił papierosa i rzekł:

— Nie będę się powoływał na źródła autorytatywne, ani operował kazuistyką, które z punktu widzenia naukowego rozwiązują to zagadnienie. Opowiem o pewnym wydarzeniu, które może w części rozstrzygnie wasze wątpliwości.

Skinąwszy na kelnera, ażeby napełnił nasze kieliszki doskonałym chianti, rozpoczął swoją opowieść:

— Parę lat temu całą Lombardię wstrząsnęła wiadomość o szeregu morderstw dokonanych przez pewnego osobnika. Dziwne były rzekome pobudki zbrodni, nie chodziło przestępcy o pieniądze: mordował w okrutny sposób ludzi, którzy w jego pojęciu krzywdzili jednostki. Rzecz oczywista, był to całkiem swoisty pogląd na niektóre sprawy o znaczeniu niekiedy socjalnym. Te zbrodnie przypominały tradycją krwawe wendetty i należało je rozpatrywać z punktu widzenia kodeksu karnego. Cała trudność leżała w tym, że sprawca był nieuchwytny. Dokonywał mordów w masce, zacierał po sobie ślady. Wreszcie władze wyznaczyły za ujęcie przestępcy nagrodę w wysokości 100.000 lirów. I — czekaliśmy...

Tu prokurator wychylił kieliszek wina i mówił dalej:

— Upłynęło parę miesięcy i wiadomość o nagrodzie pozostała bez echa. A tymczasem krwawe napady nie ustawały, być może zdarzały się rzadziej, ale zawsze miały charakter — nazwijmy: romantyczny. Przestępca pozostawił raz kartkę z napisem: „Nie wierzę w zagrobowe piekło, podli ponoszą karę za życia".

W małych miasteczkach ludzi ogarnął histeryczny lęk. Prefektura była bezsilna. Aż pewnego dnia... Jaki piękny wieczór, zauważył prokurator.

Istotnie księżyc wypłynął zza seledynowej chmurki i jezioro błyszczało jak tafla lustrzana. Gdzieś na barce, płynącej w pobliżu wybrzeża słychać było śpiew:

Si io potessi aver nel mio core,
oh! che dolcezza! un lango sguardo d'amore...

Widząc zaciekawienie na naszych twarzach, prokurator Loretti ciągnął dalej:

— Pewnego dnia do prefektury policji w Brescii nadszedł list mniej więcej następującej treści: „Podaję wam dokładny adres mordercy i proszę o wypłacenie nagrody". Tu następowało miejsce pobytu Carla Spinetti, podpis oraz adres autorki pisma: „Paola Grossi". Mój przyjaciel prefekt zatelefonował do mnie, mniemając, iż doniesienie jest lichym żartem. Doradziłem mu zachowanie dyskrecji przed reporterami i wysłanie detektywów. W parę dni później mieliśmy ptaszka w więzieniu.



Rys. St. Rozwadowski

...niezapomniane wieczorne simposiony na tarasie hotelu przy blasku księżyca.

Tak się zakończył ten fascynujący „łańcuch zbrodni", jak nazwano sprawę Spinetti na łamach brukowych dzienników.

— To nie wiele, powiedziała rozczarowana pani Ginetti.

— Bardzo ciekawe, mruknąłem ironicznie.

Prokurator roześmiał się.

— Czekajcie, carini, zaraz nastąpi pointa!.

Napełniliśmy kieliszki, a on mówił dalej:

— Upłynęło parę dni i nasza informatorka nie zjawiła się. Nie mogło się to nam pomieścić w głowie. Wreszcie prefekt wysłał agentów. Chciałem ją zobaczyć, dlatego skierowano ją do mnie. Była to młoda, śliczna dziewczyna. W oczach jej była trwoga, nie wiedziała dlaczego i za co, w jej mniemaniu, została aresztowana. Uspokoiłem ją natychmiast i wyjaśniłem cel sprowadzenia w krótkich słowach. Dziękuję pani za jej czyn szlachetny — powiedziałem — który ułatwił zwycięstwo sprawiedliwości.

I nagle Paola wybuchnęła płaczem.

— To kłamstwo, to kłamstwo, wołała w przystępie szalonego gniewu i depresji, to nie ja pisałam doniesienie. Carlo, jest niewinny.

— Przyznał się — powiedziałem krótko — ale proszę mi wyjaśnić, dlaczego zostało nadużyte pani nazwisko?

Wciąż jeszcze płakała. Położyłem jej dłoń na ramieniu i tonem ojcowskim prosiłem o odpowiedź.

— O, Madonno, szepnęła, łkając. Ja przecież o niczym nie wiedziałam, krzyknęła — nie możecie mnie aresztować!

— Ależ dziecko, nie mamy tego zamiaru, otrzymasz nagrodę 100.000 lir i w tym celu zostałaś wezwana.

— Nie chcę nagrody, nie jestem donosicielką... nie wiedziałam kim jest Carlo...

Utkwiwszy swoje smutne oczy w krucyfiksie, zaczęła swoją spowiedź:

— W dzień mojej patronki Paoli 22 czerwca — dlatego pamiętam tę datę — zapukał do naszego mieszkania na via Sebastiana jakiś nieznajomy pan. Szukał rodziny Celario, która jakoby mieszkała w tym domu. Wyprowadziłyśmy go z błędu, a ponieważ miał walizę i wyglądał na zmęczonego, moja matka zaproponowała mu, ażeby odpoczął. Opowiedział, że pochodzi z Toskanii i handluje winem. Zauważyłam, że ma obandażowaną dłoń i ślady krwi... Skaleczyłem się drutem kolczastym na dworcu — tłomaczył się. Trzeba zmienić opatrunek, powiedziała matka i poszła do drugiego pokoju po płótno. Zostaliśmy sami. Rozglądał się po mieszkaniu. Miałem właśnie, powiada, odnająć pokój od Celariów, bywam często z towarem w Brescii, hotel taki drogi. Mamy właśnie tamten pokój wolny, wyprowadziła się przed tygodniem wdowa Margutta, wtrąciłam nieopatrznie. Wróciła matka. Jestem obcy — powiedział — i mogą panie nie mieć do mnie zaufania. Ale oto zaświadczenie domu Giovanni Rafini i Synowie, hurtownia win we Florencji, że jestem ich agentem. Córka pani wspomniała że macie wolny pokój a ja go poszukuję. Tak powiedziałaś? spytała matka z lekkim wyrzutem — doprawdy nie odnajmujemy pokoju nieznajomym panom. Roześmiał się był bardzo miły. Nie przeczę, że spodobał się nam. A byłyśmy w ciężkim położeniu. Zarobkuję hafciarstwem, matka była chora na astmę w połączeniu z wadą serca. Ale po co ja to wszystko panu mówię! — zawołałam z rozpaczą. Nie wiedziałyśmy kim był Carlo Spinetto, nie wiedziałam kim był ten uroczy człowiek!

— A zamieszkał u was? — spytałem, nadając pytaniu raczej ton zaciekawienia.

— Tak. — Wyjeżdżał często. Był bardzo dobry, podniósł opłatę za czynsz, dawał pieniądze na lekarstwa dla matki. Był dobry i smutny... Czasami chodziliśmy na przechadzki. Opowiadał mi o swoim życiu... Myślałam, że ma w sercu jakąś tajemnicę; myślałem, że może miłość, czasem był taki dziwny. Ale on mówił o niesprawiedliwości na świecie, o krzywdzie biednego człowieka. Wkrótce wyjechał, ale z góry opłacił czynsz za kwartał. Wrócił przygnębiony. Wtedy właśnie umarła matka, a ja straciłam posadę w magazynie Firellich...

— Kiedy wprowadził się do pani? — spytałem.

— Przed trzema tygodniami... nie, przed dwoma. Ale właściwie odjechał tylko. Mówił... o Madonna mia! teraz rozumiem, mówił, że czasami życie staje się nie do zniesienia, że człowiek osacza człowieka gorzej zwierza i że nie ma wyjścia. Szczęśliwa jesteś, powiedział, mieszkasz, jak w szklanym domku i tylko przez szyby oglądasz ludzi. Żaliłam się na swoją biedę. — Nie martw się, powiedział, będziesz i ty miała pieniądze, ale czy kupisz za nie szczęście? Teraz wszystko jest dla mnie jasne! zawołała z rozpaczą, to on napisał doniesienie! Prokurator Leretto kończył. Milczeliśmy pogrążeni w myślach. Jezioro błyszczało w poświacie, jak zaczarowane. Po falach płynął oświetlony a'giorno stateczek z flagą herbową nad salingiem.

— To jacht Gabriela d'Annunzio, rzekł Loretti.

— A finał tej historii? spytała nieśmiało aktorka.

— Prawda, musi być zakończenie, roześmiał się prokurator. Niestety, nie jak w powieści. Carlo Spinetti został stracony, signora Paola otrzymała 100.000 lir. i wyszła za mąż, ma wcale ładną ristorante niedaleko stąd. W Salo. Czy pani zadowolona.

— Wolałabym, żeby Carlo Spinetti został uniewinniony, niedobry prokuratorze! Żeby Paola poślubiła go, prawdopodobnie była w nim zakochana, powiedziała piękna aktorka.

— A nagroda 100.000 lir? — spytałem.

— Byłaby wianem panny młodej, odpowiedziała artystka, wpatrując się w niebo usiane gwiazdami.

— Duże dzieciaki, roześmiał się prokurator, wszak chodziło wam o zagadnienie, czy morderca może powodować się odruchem serca!...

CIEKAWE RZECZY

Dlaczego ludzie posługują się prawą ręką?

Już dawniej uczeni zauważyli, że przy chorobach lewej połowy mózgu, paraliż występował po prawej połowie ciała i odwrotnie. Nerwy, które na przykład prowadzą z lewej połowy mózgu do organów ruchu prawej połowy ciała, krzyżują się w mózgu z nerwami, prowadzącymi z prawej połowy mózgu do lewej strony ciała.

Rewelacyjne wprost jest odkrycie prof. Brocesa, który udowodnił, że centrum mowy ludzkiej znajduje się wyłącznie w lewej połowie mózgu. Odkrycie to nie dotyczy natomiast wcale zwierząt, albowiem potwierdzające teorie Brocesa, dowiódł równocześnie i inny uczony Bastra, że właściwości tej są zupełnie pozbawione zwierzęta, które posiadają możność porozumienia się głosem.

Wobec tego należało właśnie tego rodzaju ugrupowanie centrów mowy u człowieka uważać za dowód jego wyższości oraz pewnego rodzaju łącznik z kulturą. Wyrazem tego ostatniego jest właśnie to niezwykłe uprzywilejowanie prawej strony, przy notorycznych działaniach ludzi, a więc „zwyczaj używania prawej ręki".

Kiedy później, skutkiem badania mańkutów stwierdzono, że wszyscy oni mają centra mowy umieszczone po prawej stronie mózgu — wobec takiego dowodu nie było już żadnych wątpliwości, że rozmieszczenie centrów mowy ludzkiej pozostaje w ścisłym związku z używaniem lewej lub prawej ręki.

Według dokładnych obserwacyj małe dziecko dopiero w ósmym miesiącu życia zaczyna wybitnie posługiwać się prawą ręką, a dopiero w trzynastym wytwarza się u niego zdecydowany system prawej ręki



CHŁOPAK ze „Starówki"

Był mały, tak mały, że nikt właściwie nie wierzył w owe „manifestacyjne" jedenaście lat, które z dumą obnosił na bladych anemicznych ustach, gdy odpowiadał na zapytania ciekawskich.

Był piegowaty. Ale jak piegowaty! Najdzielniejszy buchalter, najsprawniejszy bilansista wyrwałby z rozpaczy wszystkie włosy, gdyby mu kazano policzyć owe centki rdzawe, tak nieoszczędnie rozsiane szczodrą ręką matki-natury po całej twarzy chłopca. Jedynie kurz staromiejski naturalną szminką umiał na szczęście łagodzić te kontrasty, przysłaniając mu oblicze na pół przezroczystą, łagodną zasłoną.

Pył uliczny, obleczony w dostojną powagę wieków, której zdawały się przytakiwać sędziwe kamienice, cisnące się nad rynsztokami — jedynymi miejscami jego zabaw — wycisnął też zapewne tę pieczęć przedziwnej dojrzałości ukrywającej się przede wszystkim w blado - niebieskich oczach. A były to oczy tak ludzkie jak zakamarki Starego Miasta, jak natłoczone ściśnięte kamienice, jak przepełnione tłumne chodniki. I widocznie coś tam ze starej Warszawy musiało przesączyć się do krwi małego, bo równie rzadko promień słońca przeciska się poprzez spiętrzone dachy do miejsc jego zabaw, jak uśmiech do twarzy.

Gdzie mieszkał, kim byli jego rodzice (o ile ich miał jeszcze?) — nikt nie wiedział. Widywano go często noszącego świeżo upraną bieliznę od staruszki - praczki mieszkającej w suterynie przy rynku. Ale przecież nie mogła być jego matką ta pomarszczona, zgarbiona starowinka nie odchodząca nigdy od wielkiej balii. Praczka tworzyła zresztą nierozerwalną całość z mydlinami, wielkim kotłem gotującej się bielizny i wyżymaczką. Mały natomiast był cząstką Starego Miasta. I choć wydaje się to śmieszne, trudno byłoby sobie wyobrazić „Starówkę" bez niego.

Widywano go często w ciepłe południa letnie między straganami pełnymi jarzyn, jak pakował sobie do ust marchew na pewno grubszą od własnej ręki.

Spotykano go wieczorami rozmawiającego z umalowanymi, wiecznie wyczekującymi pod bramami dziewczynami. A gdy padał deszcz i rynsztokami lały się brudne strugi wody, zobaczyć go można było, jak z innymi chłopakami puszczał małe drewienka, które w bujnej wyobraźni imitowały najwspanialsze wyścigowe motorówki. Zresztą wszyscy go znali i spotkać można było małego wszędzie.

W czterdziestym trzecim roku w czasie masowych egzekucji i częstych łapanek biegł alarmując krzykiem: „Uwaga budy!!!" Przeciskał się wtedy, sobie tylko znanymi drogami, a cienki dyszkancik wywierał podobne wrażenie jak jakaś swoista staromiejska syrena alarmowa.

Wybuchło powstanie. Zerwano płyty z chodników, wzniesiono barykady, kopano przejścia, przebijano piwnice, atakowano, zdobywano, broniono.

Stare Miasto — serce Warszawy rozętniło się, rozlało tysiącami obrońców, tysiącami tych, co gotowi byli w każdej chwili wesprzeć oddziały walczące na gęsto rozsianych pozycjach.

Do jednej z grup szturmowych, trzymających placówkę na barykadzie wychodzącej na Wybrzeże Kościuszkowskie, zgłosił się któregoś piekielnego przedpołudnia mały. Siadł, a właściwie przyczaił się w rogu, obserwując swymi dużymi niebieskimi oczyma, jak mnożą się czerwone od obnażonych cegieł ślady po pociskach niemieckich.

Co działo się wtedy w jego duszy — nikt nie wiedział. W pewnej chwili przywarł twarzą do barykady, jakby chciał całym swoim sercem przenieść się i ujrzeć co dzieje się tam po drugiej stronie świata, po tej niemieckiej...

* * *

Drugiego dnia miał już opaskę na ręku, był żołnierzem. Jak kot, sobie tylko dostępnymi drogami przenosił meldunki i chodził po rozkazy.

Trzeciego dnia zjawił się z dwoma granatami zatkniętymi za pasek od spodni. Gdzie je „wyszabrował", od kogo? — historia milczy. Początkowo obserwowano go nawet podejrzliwie, z pod oka, czy aby nie „majdruje" przy tych filipinkach, bo na każdego przypadało aż nadto „rozrywek" niemieckich, i nikt nie miał ochoty być ekspediowanym do nieba przez własny powstańczy granat.

Ale Pantera — taki przyjął pseudonim — siedział jak zwykle w rogu barykady i patrzył na spadziste dachy kamienic zatopione w jasnych promieniach słońca...

* * *

A potem nadeszły owe straszne dnie, gdy ziemia, cegły, żelazo i ogień zlały się w jedno, gdy skowyt nurkowców i jęk rannych pomieszany z nieustającymi detonacjami bomb stworzyły nowy jakiś żywioł — nowy świat. I w końcu nie było już czego bronić, ani sposobu, by — w ogóle bronić.

Przyszedł rozkaz wycofania się kanałami. Przyniósł go Pantera nie wiedząc nawet o tym.

— No, chłopcy, przechodzimy do śródmieścia — powiedział porucznik.

— To my opuszczamy Starówkę? — bąknął mały i łzy zaszkliły mu się w oczach, pierwsze i jedyne jakie widziano u niego.

* * *

Szedł ostatni, wolnym, dziwnie starczym krokiem, jak gdyby mu ciążyły te dwa granaty i butelka benzyny zatknięta za pasek. Wycofywano się ostrożnie, przemykając po gruzach, tuląc się do kikutów wypalonych murów, gdyż właz znajdował się na przedpolu powstańczych pozycji.

Nagle gdzieś z boku, skroś detonacje przedarł się głuchy metaliczny łomot silnika niemieckiego czołgu.

— Biegiem! — krzyknął porucznik.

Zdyszani dopadli wylotu kanału.

— Prędzej! — denerwował się dowódca.

Po chwili na górze został tylko on i Pantera.

— No, właź! — czego się gapisz?...

Z poza walącej się ściany — 50 metrów za nim — wyłonił się stalowy przód olbrzymiego Tygrysa.

Mały skulił się, skoczył pod ścianę i zaczął biec prosto na czołg.

W pełnym pędzie wyrwał butelkę z benzyną! Zamachnął się... rzucił Wyrwał granat! Cisnął!... Następny! Detonacja — jedna, druga!... Dwa słupy ognia. Ciemny ciężki dym i małe ciało Pantery tulące się do wielkiego rumowiska cegieł... Ciało oblane czerwienią ognia, czerwienią własnej krwi, czerwienią cegieł i purpurą zachodzącego słońca...

* * *

Na Ostatniej Barykadzie Starej Warszawy mały chłopak — nieustraszony żołnierz polski wzniósł stalowy pomnik i zapalił nigdy niegasnący znicz nad własną mogiłą.

Tadeusz Wielecki

Na ostatniej barykadzie... mały chłopak ze Starówki wzniósł stolicy pomnik...

..skowyt nurkowca i jęk rannych, pomieszany z detonacją bomb..

O 2000% wzrosły obroty rekordowe wyniki pracy placówki spółdzielczej

Jeszcze w styczniu 1927 r., na polecenie Centrali „Społem" w Warszawie, został w Białymstoku zorganizowany oddział „Społem", jako hurtowa placówka handlowa, obsługująca spółdzielczość z tamtego terenu. Przechodząc kolejne fazy rozwojowe Oddział ten stale powiększał swoje obroty, co stało się bezpośrednim powodem do uruchomienia składnic Oddziału w Grodnie i Suwałkach. Działalność gospodarcza i handlowa Oddziału, który zasięgiem swoich prac obejmował teren większy niż obecnie, trwała nieprzerwanie aż do połowy września 1939 r.

W końcu sierpnia 1944 r., a więc natychmiast po oswobodzeniu Białegostoku z pod hitlerowskiej okupacji, grupa b. pracowników Oddziału z ob. Sierosławskim na czele bez pieniędzy i towarów samorzutnie restytuowała działalność Oddziału, początkowo jako placówki o charakterze ściśle lokalnym, która nie posiadała wówczas nawet żadnego kontaktu z centralą „Społem". Kontakt ten nawiązany został dopiero później. Mimo wielkich trudności Oddział usprawnia i rozwija działalność, obejmując zasięgiem swojej pracy coraz szersze tereny. Jeszcze w listopadzie 1944 r. zostaje uruchomiona składnica Oddziału w Bielsku Podlaskim, a w marcu 1945 r. składnice takie powstają w Grajewie i Suwałkach. Wynika z tego, że chociaż działalność Oddziału nastawiona była w owych czasach przede wszystkim na zaopatrzenie w towary spółdzielni miast i powiatu białostockiego, to dość szybko rozszerza się ona na teren całego województwa.

Z dniem 1 października 1946 r. Oddział otrzymał uprawnienia placówki o zasięgu wojewódzkim, stając się Okręgowym Oddziałem Spożywczym „Społem" w Białymstoku, ul. Stalowa Nr 6 (gmach własny). W tym charakterze Oddział zaopatruje w towary 9 oddziałów powiatowych „Społem", 1 samodzielną składnicę w Siemiatyczach oraz ponad 60 spółdzielni z miasta i powiatu białostockiego.

Okręgowy Oddział prowadzi pięć zasadniczych oddziałów: ogólny, towarów reglamentowanych, towarów wolnorynkowych, finansowo - rachunkowy i magazynowy. Referaty branżowe działów handlowych obejmują w asortymencie towary: spożywczo-kolonialne, włókiennicze, papiernicze, opałowe, chemiczne, ceramiczne, gospodarstwa domowego i artykuły monopolowe.

Obroty oddziału stale wzrastają. Jeżeli obroty z 1945 r. przyjmiemy za 100%, to w 1946 r. zostały one przekroczone o 900%, a w 1947 r. o 2.000% w stosunku do 1945 r., przyczym 70% tych obrotów, to tzw. obroty szlachetne. Koszty handlowe Oddziału wynoszą 2,9%.

Magazyny Oddziału są w 80% zniszczone. W ramach 3 letniego planu mają być odbudowane, powiększone i skomasowane.

Z dniem 1 września 1947 r. z Okręgowego Oddziału Spożywczego wydzielone zostały obroty przetworami zbożowymi i mąką. Dla gospodarki tymi artykułami, zgodnie z nową organizacyjną strukturą, powołany został Okręgowy Oddział Zbożowo - Młynarski.

Okręgowy Oddział Spożywczy zatrudniał do niedawna 183 pracowników. Kierownik Oddziału, ob. Wacław Rakowski, 30-letni działacz spółdzielczy, zreorganizował i skomasował pracę, dzięki czemu udało się personel zmniejszyć do 140 osób, otrzymując wydajność pracy dawnego zespołu pracowników.

(a.).

HELIODOR KUC

NIE WSZYSTKO TO JESZCZE

AGATKO, GDZIE TY?

Satyryczno-parodystyczna POWIEŚĆ KRYMINALNA

XII.

(Ciąg dalszy)

— Zapomina się pan po raz drugi, panie komisarzu Monk! Zdaje się, że w Politonii gubernatorowie nie mają zwyczaju chodzić pieszo.

To mówiąc otworzyła drzwiczki samochodu, wsiadła, zatrzasnęła drzwiczki, aż się szyby zatrzęsły i rzuciła krótko Blumowi:

— Do pałacu!

Blum spojrzał rozpaczliwie na Monka, Monk na Pstryka, Pstryk na Pluma, Plum na Iskandera — i wszyscy z wyjątkiem Iskandera, odsłonili głowy.

— Moje uszanowanie, ekscelencjo! — rzekli chórem. Monk zaś dodał, zwracając się do Bluma:

— Natychmiast wracaj i dopędzaj nas: idziemy szosą na Lapampę.

Chevrolet Monka warknął, huknął, jęknął, zawrócił i pomknął do Haparandy, wioząc gubernatorową ze śpiącym na jej łonie niemowlęciem. Trzej panowie z psem poszli równym krokiem przed siebie.

— Z babami to zawsze tak — powiedział Pstryk, zapalając papierosa: — ja to panom mówię! Nie takie rzeczy robią, gdy im to padnie na mózg. Pamiętam raz, jakiem dopiero zaczynał służbę w policji, będzie przeszło dwadzieścia lat, miałem nad sobą komisarza, ot tak jakby dziś pana, panie komisarzu; nazywaliśmy go między sobą Herodem, że był niby taki straszny dla wszystkich. Miał on swoją Herodową — niby żonę. Otóż, pewnego razu...

— Słuchaj, Pstryk — przerwał Monk, jakgdyby ocykając się z zamyślenia: — Od pewnego czasu zauważam, że się stajesz bardzo gadatliwy. Mam wrażenie, że jak na funkcjonariusza policji, a zwłaszcza w służbie śledczej, mówisz trochę za dużo. Bierz przykład z Pluma. Ten mówi tylko wówczas, gdy go o coś pytają.

— Tak jest, panie komisarzu — przytaknął służbiście Plum: — i właśnie chciałbym, jeśli pan komisarz pozwoli, coś powiedzieć.

— Mów.

— O ile dobrze zapamiętałem, gubernatorowa wymieniła Krzywego Felusia. Ja tego człowieka znam.

— Co milczysz?! Gadaj — że! Dlaczego tego odrazu nie powiedziałeś?

— Nie było rozkazu, panie komisarzu. Prócz tego myślę, że przy gubernatorowej nie należało o tym raczej wspominać.

— Słusznie, słusznie... Gadaj więc!

— Ja, panie komisarzu, zanim poszedłem do Haparandy, robiłem,) pięć lat w Lapampie. Felusia znam, jak zły szeląg. To grajek na cztery ręce.

— Aaa — powiedział komisarz Monk i wywiadowca Pstryk jednocześnie: — Tak, to się znakomicie składa!

— Tak jest panie komisarzu: swój chłop.

— Nie wiedziałem o tym. No, zresztą nie znam stosunków lapamskich, choć to pod bokiem Haparandy. Ile to? Z dziesięć kilometrów?

— Jedenaście, panie komisarzu — poprawił rzeczowo Plum: — Tak jest. A i tam, w Lapampie, też nie bardzo wiedzieliśmy, co się dzieje w Haparandzie. Nasz tamtejszy komisarz — o, to był człowiek uczony! zawsze nas pouczał: „czyń każdy — mówił — w swoim kotku, co każe duch boży, a całość sama się złoży". Tak jest.

— No, to znakomicie — powtórzył Monk, myśląc o Krzywym Felusiu: — Zanim nas Blum nie dogoni, opowiadaj o nim wszystko, co wiesz. To jest, o Felusiu...

Plum przystąpił do wyjaśnień. I my również winniśmy czytelnikowi wyjaśnienie. Tak się wciąż nieprzyjemnie dla nas składa, że musimy robić dygresje, ustępować od właściwego wątku. Zdajemy sobie sprawę, że może to czytelnika nudzić. Ale co mamy począć? Musimy np. wyjaśnić czytelnikowi, co oznacza powiedzenie Pluma „grajek na cztery ręce". Jak to zrobić bez dygresji? Chcielibyśmy znaleźć jakąś lepszą, udoskonaloną, nowoczesną metodę pisania powieści, ale ani rusz nie możemy. Słyszeliśmy, że podobno w Polsce, tym klasycznym kraju poszukiwań, zdobyczy, ciągnięć i nadnormy we wszystkich dziedzinach życia, krytyka wynalazła jakiś nowy sposób pisania powieści; nazywa się on „nadrealizmem", jak to określił znakomity filozof polski prof. dr. Jan Kott w swej książce pt. „Mitologia i realizm". Niestety, wieści o tym, co się dzieje w Polsce, dochodzą do Politanii z wielkim opóźnieniem i dość bałamutne. Nie możemy więc wyzyskać ostatniego słowa nauki prof. dr. Jana Kotta, i musimy poprzestać na starych metodach. Te stare metody, któreśmy już określili jako „fakto-graficzne", wymagają żeby czytelnikowi podawać wszystko metodą tzw. łopatologiczną, tj. kłaść mu wszystko łopatą do głowy. Trzymając się tej metody, komunikujemy mu, co następuje:

,) wyrażenie żargonowe: pracowałem, służyłem (przyp. autora).

Policja haparandzka, zarówno jak cała policja politańska była znakomicie zorganizowana; wzorowała się ona na najlepszych przepisach zagranicznych — angielskich, amerykańskich i francuskich, uzupełniając je własnymi osiągnięciami. Jeden z jej chwytów stanowiło właśnie to, co Plum nazwał „graniem na cztery ręce". Na czym to polegało? Na systemie jeśli tak można określić — „wzajemności". Jakiś, powiedzmy, bandyta, zdeklarowany łobuz, nygus, łotr, szubrawiec i ostatni łajdak, rabujący ludzi w ciemnych zaułkach, był jednocześnie na służbie policji w charakterze tzw. konfidenta,) Mógł on swobodnie okradać ludzi, pod warunkiem, że będzie donosił policji na swoich towarzyszów. Ten system nazywano właśnie w żargonie policyjno - bandyckim „graniem na cztery ręce": to znaczy, że osobnik taki służył dwoma rękami bandytom, a dwoma policji.

Całkowicie pewny bezkarności, musiał on informować policję o swych kompanach: nazywało się w tym żargonie „dawać cynk", przyczym „cynk" oznaczało: „wiadomość", „informację". Tego rodzaju „grajkiem", niby wirtuozem, był Krzywy Feluś, jak to wynikało z informacji Pluma.

— Opowiadaj o nim wszystko, co wiesz — zwrócił się Monk do Pluma: — Jakież są jego personalia?

— Nic szczególnego — odrzekł Plum: zwyczajnie, trzyma knajpę w Lapampie.

— Aaa — odrzekł Monk: — znakomicie! Idziemy do niego na saki.,)

,) słowo łacińskie: „confideus" — dosłownie: współwierny, wyznający tę samą wiarę, czyli powiernik, człowiek zaufany (Przyp. autora).

— Zrobione! — odrzekli jednogłośnie Plum i Pstryk. Właśnie w tej samej chwili usłyszeli za sobą dyskretny klakson: to powracał Blum, który postarał się w maksymalnie szybkim tempie odstawić gubernatorową. Panowie wsiedli do samochodu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności niebo poczęło się chmurzyć; gęste, jakby wywatowane, chmury przysłoniły całkowicie księżyc; zanosiło się na deszcz; była to okoliczność niewątpliwie sprzyjająca wyprawie.

Chevrolet pędził z szybkością 80 km.; już tylko kilometr, najwięcej dwa — dzieliło go od Lapampy, gdy Blum zahamował tak gwałtownie, że Monk i Pstryk osunęli się niemal gołwami na leżącego u ich nóg Iskandera.

— Co jest, do jasnej a niespodziewanej? — zaklęli obydwaj.

— Żeby się te cholery choć raz nauczyły jeździć przepisowo! — powiedział Blum: — patrzcie, panowie, jak to stanęło wpoprzek: ani wte ani wefte...

Rzeczywiście, wpoprzek szosy stała limuzyna. Blum zatrąbił gwałtownie — raz, drugi, trzeci. Limuzyna nie dawała żadnego znaku życia.

— Śpiąca królewna, czy co? — powiedział Blum, otwierając drzwiczki.

Wywiadowcy wysiedli. Świecąc latarkami, podeszli do samochodu, tarasującego drogę. Poznali natychmiast Buicka gubernatorowej. Nie było przy nim żywej duszy.

— No, — rzekł Monk: — naturalnie, porzucili złodzieje samochód i zatarasowali nim drogę, spodziewając się pogoni. Napewno zepsuty.

Istotnie, samochód był zepsuty: opony i kiszki miał przebite. Monk otworzył drzwiczki i zajrzał do środka, świecąc sobie latarką. Skulony w kąciku, wystraszony, mrużąc oczy, oślepione światłem, siedział tu dr. Feder.

— Uszanowanie panu doktorowi! — powiedział Monk drwiąco: — Jakże się podróżowało? Majówka się udała?

— A,) to pan komisarz! — wyszeptał dr. Feder, wzdychając z ulgą: — Bogu najwyższemu dzięki! Byłem już przygotowany na najgorsze...

— Może na powróz?

— Powróz? Nie rozpumiem.

— Nie rozumie pan doktor? Nie wie pan doktór, do czego służy powróz? No, bandyci mogliby lada moment powrócić z powrozem i, że tak powiem, pana doktora na tym drzewku przydrożnym...

Monk uczynił wymowny ruch ręką, oznaczający podciąganie w górę. Dr. Feder przypomniał sobie, jak widać, niefortunne wyrażenie, którego użył ironicznie przed paru godzinami wobec Monka.

— Niech pan nie żartuje, panie komisarzu — rzekł niemal błagalnie: — to wszystko mogło się rzeczywiście źle skończyć. A co z ekscelencją? — dodał, połapawszy się, że przecie wypadało zapytać o gubernatorową, co do której przyrzekał gubernatorowi, że opieka nad nią jest jego powinnością.

— Ekscelencja już w pałacu, drogi panie doktorze, w pałacu, opuszczona przez pana, zaniedbana, bez opieki...

— Panie komisarzu, chwila zbyt poważna, żeby sobie stroić żarty.

— Istotnie — rzekł gniewnie Monk, marszcząc brwi: — to też musi nam pan w tej poważnej chwili dopomóc. Natychmiast udaje się pan do Haparandy, krokiem marszowym. Musi pan zmyć z siebie hańbę. Stąd prosto, jak wystrzelił, do autostrady, potem na lewo pięć kilometrów. Za pół godziny musi pan być w Haparandzie, zawiadomić policję o porzuconym Buicku i o tym, że ja działam. Niech czekają na mój telefon. Panu gubernatorowi oświadczy pan, że jego powróz okazał się pajęczynką, moja zaś pajęczynka grubieje jak lina okrętowa. No, już, raz, dwa! Niema pana!

— Ależ, panie komisarzu!

— Ani słowa. Skoro tu pana bandyci zostawili, może pan być o siebie najzupełniej spokojny. Nikt się na pana nie połakomi. Także coś: Taka heńka, taka pętelka, taki świstek kancelaryjny.

— Pan mnie obraża! Wypraszam sobie.

— O tym potym. Teraz do dzieła, marsz!

Biedny doktór Feder musiał się znowu poddać przemocy, jak się już poddał jej wobec bandytów w buczynie. Ze zwieszoną głową pomaszerował do Haparandy — w noc, która stawała się coraz gęstsza i mroczniejsza, coraz bardziej chmurna: czuć było że z chwilę spadnie ulewa. Czterej panowie zaś wsiedli do Chevroletu.

— A co będzie z Buickiem ekscelencji? — zawołał dr. Feder, przeszedłszy kilka kroków.

,) Słowo to już było objaśnione (Gatunek wódki — Przyp. Autora).

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

POECI I PISARZE W ANEGDOCIE



WERSALSKIE STOSUNKI

Sławny pieśniarz francuski Gustaw Nadaud (1820—1893), którego satyryczna piosenka „O dwóch żandarmach" była swego czasu jedną z najbardziej popularnych we Francji, przyjechał pewnego razu prywatnie do Nantes i zatrzymał się w hotelu. Zaledwie się roztasował zapukano do drzwi.

— Proszę!

Weszło dwóch żandarmów w całko witem uzbrojeniu.

— Pan Nadaud?

— Tak jest. We własnej osobie.

— Proszę się ubierać i z nami natychmiast do prefektury.

— Co to ma znaczyć.

— Ani słowa. Natychmiast.

Żandarmi zaprowadzili Nadaud do prefekta.

— Mistrzu — powiedział ten z głębokim ukłonem: — proszę mi wybaczyć zuchwalstwo. Ale nie widzieliśmy innego sposobu, żeby pana ściągnąć do siebie i usłyszeć pańską cudowną piosenkę.

To mówiąc, otworzył drzwi do salonu, gdzie pluton żandarmów prefekta zgotował Nadaud najgorętszą owację. Nadaud opowiadał potem, że nigdy w życiu nie śpiewał lepiej i z większą przyjemnością i przed milszą publicznością swych „Dwóch żandarmów".

Życie gospodarcze na terenach zniszczonych rozwija się

Założony w 1940 r. Oddział „Społem” w Starachowicach, po całkowitym rozgrabieniu w czasie walk wyzwoleńczych z okupantami w 1945 r., rozwija się stopniowo, systematycznie zwiększając swoje obroty. Osiągnęły one w 1947 r. zwyżkę o ca 140 proc., w stosunku do 1946 r.

Powiat iłżecki, na krańcu którego znajduje się miasto Starachowice — Wierzbnik, to teren lesisty. Wschodnia część powiatu (5 gmin o ziemi żyznej, przywiślańskiej) została całkowicie zniszczona przez działania wojenne na tzw. „przyczółku Sandomierskim”. Reszta powiatu rozciąga się aż do stóp Gór Świętokrzyskich, obejmując i samo miasto Starachowice — Wierzbnik. Zrabowane lub całkowicie zniszczone, spółdzielnie powiatu reaktywują się, szybko zwiększając znaczenie swe i obroty.

Założenie Oddziału „Społem” w Starachowicach — Wierzbniku (ul. Iłżecka 111) było pomysłem bardzo szczęśliwym. Działalnością swoją Oddział udowodnił, że istnienie jego jest konieczne. Znalazł też całkowite uznanie u miejscowych władz, spółdzielni i społeczeństwa, zwłaszcza z racji sprawnego rozprowadzenia towarów z akcji „przemysł dla wsi”, spotkało się to z nader przychylną dla Oddziału oceną w artykułach lokalnej prasy.

Oddział prowadzi, odległą o 55 km Składnicę w Lipsku, n. w. Składnica ta, mając za teren działania najbardziej zniszczoną przez front część powiatu, odległa od stacji kolejowej o 55 km, spełnia olbrzymią rolę w zaopatrywaniu spółdzielni tamtejszego terenu. Mimo strat i rabunków, Oddział utrzymuje tę składnicę, ze względu na tamtejsze spółdzielnie, które do Oddziału mają nawet ponad 90 km. Działalność składnicy okazała się bardzo dodatnia w czasie wielkich opadów śnieżnych w zimie 1946 — 1947 r., kiedy to duża część powiatu wraz z samym Lipskiem, została przez półtora miesiąca zupełnie odcięta od świata. Oddział wysyłał wtedy towary transportami, złożonymi z kilku sanek. Jeden z takich transportów sankowych zabrał do Lipska n. w. 8.000 kg nafty i, po 21 godzinach podróży, osiągnął Lipsko, obniżając cenę rynkową tego artykułu o 66 proc.

Akcja interwencyjna Oddziału w zakresie regulowania cen ma i inne jeszcze sukcesy. Oto, dzięki rzuceniu przez Oddział na rynek większych ilości cukru i zapałek, w momencie powstawania nieuzasadnionej zwyżki cen na oba te artykuły, do zwyżki tej nie dopuszczono.

W powiecie pracuje około 60 spółdzielni, ale 75 proc. tych spółdzielni — to placówki gospodarczo słabe, cierpiące na brak kapitałów obrotowych. Zjazd wszystkich spółdzielni powiatu iłżeckiego, jaki odbył się w dniu 15 czerwca 1947 r. w Iłży, wykazał ścisłą łączność Oddziału ze spółdzielniami i duże ich do Oddziału zaufanie. Podkreślić tu jeszcze należy ścisłą i daleko posuniętą współpracę Oddziału ze spółdzielniami „Samopomocy Chłopskiej” i Związkami Zawodowymi.

Siedziba Oddziału oddalona jest od stacji kolejowej o 2 km. Zmusiło to kierownictwo Oddziału do wybudowania magazynu przy stacji kolejowej Wierzbnik. Budowa drugiego magazynu jest już zatwierdzona.

Obok artykułów kolonialno-spożywczych, Oddział prowadzi dział włókienniczy oraz hurtownie: P. M. S. i P. M. T., zatrudniając ogólnie 46 pracowników. (a).

SOCHACZEW
ŚPICHRZEM WARSZAWY

Oddział Powiatowy „Społem” w Sochaczewie, ul. Reymonta 24, powstał w 1940 roku. W końcowej fazie okupacji niemieckiej, po upadku powstania warszawskiego, Sochaczew stał się jakby stolicą polskiej spółdzielczości. Mieściła się tam wówczas Delegatura Zarządu „Społem” na okręg Warszawski. W tym też okresie Oddział w Sochaczewie wykazywał największe obroty.

W czasie działań wojennych w styczniu 1945 r. wypełnione towarami magazyny Oddziału zostały doszczętnie rozgrabione. Należało organizować wszystko od początku i oto już w dniu 15 marca tegoż roku Oddział wznowił swoją działalność, stając się wkrótce placówką rentowną, która jeszcze w 1945 r. dała 3 miliony złotych dochodu, co było swego rodzaju rekordem w Okręgu Warszawskim.

W chwili obecnej Oddział w Sochaczewie zatrudnia 37 pracowników, zaopatrując w towary 43 spółdzielnie z terenu całego powiatu. Poza działami: spożywczo - kolonialnym i włókienniczym Oddział prowadzi hurtownie: soli, wyrobów P. M. S., zapałek i wyrobów tytoniowych.

Obroty Oddziału stale wzrastają, a podstawową ich częścią składową są tzw. obroty szlachetne.

Oddział posiada dwa magazyny. Są one stanowczo niewystarczające. To też kierownictwo Oddziału wystąpiło z wnioskiem w sprawie kupna placu i pobudowania nowych magazynów. Sochaczew jest śpichrzem dla Warszawy i całego woj. warszawskiego. Referat Zbożowy Oddziału, pracujący na zlecenie Ministerstwa Aprowizacji i Handlu wysyła rocznie na potrzeby stolicy i województwa 3 — 4 tysiące ton mąki. Referat zatrudnia 4 osoby i pracuje deficytowo.

Mimo dość dużej sieci, spółdzielni, powiat wymaga jeszcze otwarcia conajmniej 12 nowych placówek na terenie 4-ch gmin nadwiślańskich, które w okresie okupacji niemieckiej włączone były do Rzeszy. Konieczna tu będzie pomoc Związku Rewizyjnego w postaci przydzielenia Oddziałowi instruktora organizacyjnego.

Kierownictwo Oddziału od marca 1945 r. spoczywa w ręku p. Mieczysława Nowaka, pracującego w spółdzielczości od 1939 r. (a)

Bolączki i potrzeby Brzezin

Oddział Powiatowy Związku Gospodarczego Spółdzielni R. P. „Społem”” w Brzezinach Łódzkich, ul. Sienkiewicza 7, powstał w czerwcu 1945 r. Zaopatruje w towary 32 spółdzielnie różnego typu z terenu powiatu brzezińskiego, zatrudniając 25 pracowników.

Oddział prowadzi działy: spożywczo kolonialny, włókienniczy, materiałów budowlanych i opałowych oraz hurtownie: soli, wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego, zapałek, drożdży i wyrobów tytoniowych.

Obroty oddziału stale wzrastają. Jeżeli przeciętny miesięczny obrót z 1945 r., przyjmiemy za 100, to obroty w 1946 r. wzrosły o ca 75 proc., a obroty w 1947 r. o ca 1.400 proc. w stosunku do 1945 r.

Dział wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego prowadzony jest w Oddziale dopiero od lutego 1947 r.

Magazyny Oddziału rozrzucone w sześciu punktach są całkowicie nieprzystosowane do potrzeb Oddziału. Lokal biurowy mieści się w wydzierżawionym domu, jest szczupły, niewygodny, uniemożliwiając normalną pracę, która przecież w związku ze stale postępującym naprzód rozwojem Oddziału, wymaga coraz intensywniejszej pracy całego zespołu pracowników.

We wrześniu 1946 r. został przez „Społem” nabyty gmach przy ul. Pilsudskiego 18. Gmach zniszczony w czasie działań wojennych, należało wyremontować i część tych prac remontowych kosztem 1.500.000 złotych, wykonano jeszcze w 1946 r. Całkowite wykończenie tych prac remontowych, wymaga jeszcze kredytu w wysokości 2.800.000 złotych. Po zakończeniu tych robót, Oddział „Społem” zyska jeden z najpiękniejszych obiektów, położony w samym sercu miasta. Znajdą w nim wygodne, obszerne pomieszczenie biura i magazyny. Kierownictwo Oddziału zabiega o wydzierżawienie 2 sąsiednich placów, na których pomieścić byłoby można garaże i skład materiałów opałowych.

Tabor Oddziału składa się z 4 samochodów. Jest dostateczny. Wozy jednak są poważnie zużyte i często ulegają zepsuciu. Odczuwa się brak ogumienia. Stacja kolejowa oddalona jest o 8 km, co stwarza duże trudności przy zwożeniu do magazynów, ładunków wagonowych.

Sieć spółdzielni jest zagęszczona. Powstają jednak dalsze spółdzielnie o charakterze wiejskim. Spółdzielnie pracują dobrze, odczuwa się jednak brak dostatecznie fachowo wykwalifikowanego elementu pracowniczego. W Brzezinach nie ma niestety Oddziału Związku Rewizyjnego, co miejscowa spółdzielczość jakby osierocona i pozbawiona opieki, odczuwa szczególnie dotkliwie.

Jeszcze jeden bardzo przykry szczegół, który wywołał powszechne wśród spółdzielców powiatu niezadowolenie i rozgoryczenie. Oto z dniem 1 maja ub. r. została w Brzezinach zlikwidowana agentura Banku Gospodarstwa Spółdzielczego. Jest to posunięcie conajmniej nieszczęśliwe. Nasza bankowa centrala spółdzielcza miast się w terenie do ruchu spółdzielczego zbliżać, raczej oddala się od niego, co na pewno dobrych wyników w pracy nie da.

Początkowo opiekowała się miejscową spółdzielczością Rada Oddziałowa, istniejąca przy Oddziale „Społem” w Tomaszowie Mazowieckim. Nowe wybory dały Brzezinom własną Radę. Kierownikiem Oddziału od 15 sierpnia 1945 r. po dzień dzisiejszy jest, p. Antoni Smolarek, któremu też Oddział zawdzięcza swój dotychczasowy rozwój. (a).

Okręgowy Dział Transportowy w Łodzi

Okręgowy Dział Transportowy Związku Gospodarczego Spółdzielni RP. „Społem” w Łodzi, ul. Nowa 5, istnieje od kwietnia 1945 r.

Zadaniem Działu w pierwszej fazie jego istnienia było rozwiązanie zagadnienia szybkiego i sprawnego transportu towarów, co w dobie organizującego się dopiero po wojnie kolejnictwa polskiego miało szczególnie ważne znaczenie dla placówek handlowych „Społem” zapewniało mu bowiem dostawę towarów. W tym też czasie Dział obsługiwał teren całego woj. łódzkiego, a ponadto utrzymywał stałe linie komunikacyjne na najważniejszych szlakach transportowych na obszarze całej Rzeczypospolitej. To też w okresie wielkiego nasilenia akcji świadczeń rzeczowych Dział posiadał 175 samochodów ciężarowych, które w okresie od 1.10 1945 r. do 31.3. 1947 r. przejechały ogółem 1.766.201 klm. zużywając 739.644 ltr. benzyny. Aby jeszcze bardziej dokładnie sprecyzować orzeczoną działalność Działu należy dodać, że transport towarowy w tym samym czasie wynosił ogółem 5.298.603 tonokilometry.

Obecnie, wobec znacznego już usprawnienia transportu kolejowego Dział przechodzi na działalność wyłącznie spedycyjną, to znaczy, że zajmować się będzie tylko dowozem towarów do stacji kolejowej; Do tych celów Dział dysponuje obecnie 25 samochodami ciężarowymi i 2 lokomotywami (węglową i benzynową), których zadaniem jest obsługa własnej bocznicy kolejowej w Łodzi. Oczywiście, że odwóz towarów ze stacji kolejowej do magazynów w Łodzi również należy do zadań Działu.

Dział prowadzi własną rachunkowość pobierając opłaty za swoje usługi. W okresie akcyj świadczeń rzeczowych działalność Działu ze względu na niskie stawki opłat, była deficytowa.

Stan zatrudnionych pracowników na dzień 1 maja 1947 r. wynosił 245 osób (w tym 42 prac. umysłowych, 138 fizycznych i 65 sezonowych).

Kierownictwo Działu spoczywające w ręku p. Edwarda Widło, projektuje kupno w najbliższym czasie pozostałych dwóch trzecich posesji przy ul. Nowej 5” jedna trzecia tej posesji już została przez „Społem” nabyta za sumę 300.000 zł.). Z chwilą nabycia reszty tej posesji rozpoczęta zostanie budowa własnych garaży.

Przy Dziale istnieje stacja obsługi Nr. 4, której zadaniem jest konserwacja i drobne naprawy samochodów własnych oraz konserwacja maszyn z terenu całego okręgu. (a).

SPÓŁDZIELCZOŚĆ REGULUJE CENY

Oddział Powiatowy „Społem” w Łęczycy, Rynek Kościuszki Nr 22 istnieje od maja 1945 r. Zaopatruje w towary 33 spółdzielnie z terenu całego powiatu łęczyckiego, zatrudniając w chwili obecnej 41 pracowników.

Poza działami: kolonialno - spożywczym i włókienniczym Oddział prowadzi hurtownie: soli, wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego, zapałek, drożdży i wyrobów tytoniowych. Ponadto od stycznia 1947 r. Oddział posiada Składnicę w Ozorkowie.

Obroty Oddziału systematycznie wzrastają przyczym wzrost ten w 1947 r. w stosunku do 1946 r. wynosi ca 80 proc.

Magazyny Oddziału są zbyt szczupłe. Nawet pozyskane w 1947 r. 3 magazyny w śródmieściu nie sprostają zadaniu ze względu na rozwój Oddziału. Sprawa pozyskania dla Oddziału właściwych magazynów, to problem na prawdę trudny do rozwiązania, albowiem brak jest w mieście odpowiednich do tego celu budynków. Tabor Oddziału składa się z 2 samochodów ciężarowych i jest zupełnie wystarczający.

Charakter powiatu jest wybitnie rolniczy, a rynek chłonny. Odczuwa się brak artykułów chemicznych i tanich materiałów włókienniczych. Oddział przez racjonalnie stosowaną politykę cen spełnia rolę faktycznego regulatora cen rynkowych w całym powiecie łęczyckim. Sieć spółdzielni jest niedostateczna. Należałoby jeszcze zorganizować około 20 sklepów. Kontakt Oddziału ze spółdzielniami jest bardzo ścisły. Zakupy Spółdzielni w Oddziale wynoszą przeciętnie 25 proc. ich ogólnego zapotrzebowania na towary. Rada Oddziałowa pracuje intensywnie, często wyjeżdżając w teren na walne zgromadzenia członków poszczególnych Spółdzielni.

Na drodze ku nowym formom polskiej spółdzielczości

Oddział „Społem” w Krakowie istniał już w 1926 r. W okresie okupacji niemieckiej działała w Krakowie tzw. Centrala Krakowska „Społem” spełniająca rolę oficjalnej wobec okupanta reprezentacji Zarządu Głównego Związku „Społem”, który w istocie urzędował po dawnemu w Warszawie. W styczniu 1945 r. zgodnie z uchwałą I-go Ogólnopolskiego Kongresu Spółdzielczego w Lublinie, gdzie, jak wiadomo, nastąpiło w ramach Związku „Społem” zjednoczenie polskiej spółdzielczości”, Centrala Krakowska została zlikwidowana. Na jej miejsce powołano naczelną władzę Krakowskiego Okręgu „Społem”, na której czele stanął delegat Zarządu Głównego Związku na woj. krakowskie. Najaktualniejszym wtedy zadaniem delegata było zorganizowanie Okręgu, W wyniku postępujących naprzód prac organizacyjnych powołano do życia 9 okręgowych placówek specjalnych oraz 15 powiatowych oddziałów handlowych. Przemysł okręgu reprezentowany jest przez 9 młynów i 5 fabryk. W związku z dokonywaną obecnie zmianą struktury organizacyjnej polskiej spółdzielczości Okręgowy Oddział Przemysłowo - Rolny włączono w ramy Okręgowego Oddziału Rolniczego. Delegatura Zarządu „Społem”, Kraków, ul. Tomasza 43, na której czele stoją: delegat Zarządu ob. dyr. Henryk Bałaban i jego zastępca ob. dyr Franciszek Rzadkowski — pracuje obecnie nad unifikacją spółdzielczości wiejskiej, której celem jest ujednolicenie i wzmocnienie gospodarcze istniejących już placówek spółdzielczych.

Odpowiedzi Redakcji

P. J. K. Grabowiecki w Kłodzku — Prosi P. o przysłanie „Rozrywki" nie podając jednak dokładnego adresu.

P. Maria Seyrlhuber — Andrychów, Rynek 7. — Rozwiązanie zadań z „Konkursu Karnawałowego" należy przesłać razem po zakończeniu Konkursu w terminie podanym w warunkach konkursu.

P. Wiktor Bromberek — Wągrowiec, ul. Klasztorna 10. — Za życzenia przesłane od grona czytelników z Wągrowca b. dziękujemy.

P. E. Jaszczyszyn — Strzelce Opolskie, Fabryczna 22. — Ma Pani opłaconą prenumeratę do 1 marca br. „Rozrywkę" wysłaliśmy.

Spółdzielnia Spożywców w Gniewkowie. — Czasopismo Ogrodnicze zaabonować można w Związku Rewizyjnym Spółdzielni R. P. Warszawa, ul. Kopernika 30.

P. Henryk Radziszewski — Łochów. — Nadesłany materiał rozpatrzymy.

P. Roman Gilatowski — Wałbrzych 22 lipca 11. — Uwagi Pana są słuszne tylko częściowo. Autorka artykułu zrobiła rysunek prawidłowy, ale zdjęcie i następnie klisza przedstawiły go odwrotnie i stąd Pana uwagi. Chcąc uchronić się od podobnych uwag, musiałaby ilustratorka robić odwrotny rysunek, lub chemigrafia dwukrotnie fotografować. Nie zawsze się jednak otym pamięta. Niedawno na przykład była ilustracja w „Modzie i Życiu Praktycznym", przedstawiająca skrzypka trzymającego skrzypce w prawej ręce; przydały się też mniej lub więcej uszczypliwe uwagi tych, którzy nie znają sztuki fotograficznej.

P. Franciszek Smoczyk — Leszno, ul. Wolność 13. — Nadesłanych, a nie zamówionych rękopisów Redakcja nie zwraca.

P. mgr. J. Oświecimski — Warszawa, Narbutta 52. — Artykuł P. „O giełdach zbożowo - towarowych" przesłaliśmy do wykorzystania Referatowi Prasowemu Centrali „Społem".

P. Maria Trzepałko — Warszawa, Wiosenna 4. — Źle zrozumiała Pani naszą „Sklerozę", przecież przytoczony przez Panią wycinek dotyczy cytaty z „Dziennika Łódzkiego" Nr 107, co zresztą zaznaczyliśmy w naszej notatce.

P. Adam Szczepanek — Tomaszów Mazowiecki. — Wyjaśnienie j. wyżej. Drugą notatkę wykorzystamy.

P. Ryszard Kierzkowski w Przasnyrzu. — Odpowiedź wysyłamy listownie.

P. Jan Konopka — Strzegowo, pow. Mława pisze: „Tydzień" oddaje mi rówież, a napewno wszystkim, do ręki materiał propagandowy, do ściągania ludzi w szeregi spółdzielcze... bardzo mi się „Tydzień" podoba. Pożądanym byłoby, gdyby Redakcja wydała spis treści rocznika, gdyż roczniki te posiadają, moim zdaniem, dużą wartość". Życzenie Pana przedłożymy Zarządowi naszej Spółdzielni.

P. Grabowski ze Swoszowic pisze w imieniu pracowników miejscowej Spółdzielni, „Tydzień" staje się u nas coraz bardziej popularny, czytany „od deski do deski", nieraz ginie z biura, ale „winowajca" zawsze się znajdzie. Roczniki całe leżą oprawne i często do nich się zagląda". Cieszymy się bardzo, że mamy wśród was szczerych sympatyków i przesyłamy wzajemnie pozdrowienia i życzenia owocnej pracy całemu zespołowi Spółdzielni, a Panu szybkiego i szczęśliwego zakończenia bilansu.

P. Przywara — Racibórz, Długa 3/ — Niestety, nie możemy drukować encyklopedii w „Tygodniu", bo trwałoby to dość długo i obciążyło nas znacznemi kosztami. Nową encyklopedię przygotowuje firma wydawnicza „Trzaska, Evert i Michalski". Co się tyczy terminu nadsyłania rozwiązeń zadań, to projekt Pana uwzględnimy przy następnym konkursie.

ZIOŁA TO ZDROWIE

Leki syntetyczne — to leki sztucznie wyrabiane w kotłach fabrycznych względnie w kolbach laboratoryjnych, leki zaś roślinne — to leki naturalne, moc których pochodzi przede wszystkim od słońca, które jest źródłem wszelkiego życia i zdrowia. Wśród jednak olbrzymiej ilości ziół, jakich przyroda dostarcza na potrzeby człowieka, medycyna i w ogóle nauki przyrodnicze stale wyszukują wśród nich te specyficzne, które najbardziej wskazane są w chorobach trawiących ludzkość i świat zwierzęcy.

Zastanówmy się na przykład nad dobrze znaną **cebulą**, a przekonamy się o dobroczynnych własnościach leczniczych tej pospolitej ogrodowej rośliny. Prawda, że cebula wyciska łzy z oczu, lecz za to jest wyśmienitym środkiem odżywczo — leczniczym. Składniki jej to: żelazo, krzemień, siarka, fosfor, sole wapienne, olej dlatego powinno ją się spożywać jak najwięcej w stanie surowym — gotowana, smażona, lub pieczona traci wiele składników wielowartościowych. W lecznictwie domowym cebula jest doskonałym środkiem w okresie zaziębień, zwłaszcza przy chrypce i bólu gardła. Odwar z kilku cebul wypijany codziennie łagodzi kaszel, powoduje szybkie odflegmienie, obniża gorączkę powodując prędsze wyzdrowienie. Sok cebulowy przyrządzamy w sposób następujący: dwie duże cebule pokrająć w plasterki, zasypać dwoma łyżkami cukru (mączką), po czym odstawić na noc. Wytworzony sok pić po troszku kilka razy dziennie. Sok ten przy silnych zaflegmieniach doskonale pomaga, w każdym razie nie gorzej od niejednej kosztownej mikstury aptecznej. Sok cebulowy jako zabieg kosmetyczny jest znakomitym również środkiem na włosy, odżywiając cebulki, zapobiegając wypadaniu włosów i dodatnio wpływając na ich porost.



Centuria

Niemniej dobroczynnymi ziołami są również:

Ziele tysiącznika (centuria): używane było w lecznictwie od najdawniejszych czasów. Wzmacnia trawienie. Stosuje się wewnętrznie w braku apetytu, przy rozwolnieniach (szczególnie przewlekłych), w bled nicy, w zimnicy, przy katarze i osłabieniu żołądka, przy nadmiarze kwasów w żołądku, przy cierpieniach wątroby.

Z łyżki ziela tysiącznika zrobić trzeba **napar** tj. zalać szklanką wrzątku, pozostawić pod przykryciem na 15 — 20 minut, przecedzić i zażywać 3 razy dziennie przed posiłkiem.

Korzenie łopianu posiadają działanie moczopędne, napotne, pobudzające przemianę materii. Nieoceniony środek przy wszystkich wyrzutach skórnych.

Wewnętrznie łopian ma zastosowanie przy skrofułach, podagrze, syfilisie, czyrakowatości, wyrzutach skórnych i na oczyszczenie krwi, dorównując w tych przypadkach kolcowojowi (sarsaparyli): stałe i właściwe używanie korzeni łopianu regeneruje ustrój i osiąga się naturalną zdrową cerę. W tym celu należy przyrządzić odwar z łyżki korzenia na szklankę wody. Pić 3 razy dziennie.

Zewnętrznie zaś stosuje się na porost włosów (zmywać głowę odwarem), przeciw łupieżowi i chorobom skóry.

W Japonii korzenie łopianu są spożywane jako jarzyna.

×

Opowiedź Ob. Hryniakowi Kazimierzowi DP w Sanoku. Odpowiedź na pytanie przysłane do nas znajdziecie w powyższym artykule. Oprócz ziela bratków polnych i korzeni łopianu pomagają na te dolegliwości kłącza perzu i liście orzecha włoskiego.

W lecznictwie przy chorobach płucnych i dróg oddechowych są stosowane następujące zioła krajowe: liście podbiału, liście pokrzywy, kwiaty dziewanny, pączki sosnowe, ziele tymianku, mech islandzki, korzenie prawoślazu, korzenie żywokostu, siemię lniane, liście babki wąskolistnej, ziele poziewnika wielkokwiatowego, ziele płucnika lekarskiego.

Przy czym z takich ziół, jak: ziele tymianku, kwiat dziewanny, pączki sosnowe, liście podbiału i mech islandzki należy przyrządzać **napary**, przez zalanie łyżki ziół szklanką wrzącej wody i pozostawienie pod przykryciem na parze wodnej, względnie na ciepłej blasze kuchennej, w ciągu 10 — 15 minut do zupełnego naciągnięcia, podobnie jak zaparza się herbatę. Inne zaś zioła, jak: ziele skrzypu polnego, liście pokrzywy, ziele poziewnika wielkokwiatowego, ziele płucnika lekarskiego, ze względu na trudną rozpuszczalność krzemionki oraz korzenie żywokostu wymagają przyrządzenia **odwarów.** Odwar przyrządza się w ten sposób, że łyżkę rozdrobnionego surowca zalewa się szklanką zimnej wody i gotuje się na wolnym ogniu w ciągu 20 — 15 minut, uzupełniając wygotowaną wodę.

Korzenie prawoślazu i siemię lniane zalewa się przegotowaną i ostudzoną wodą i pozostawia się na 20 — 30 minut. Wszystkie należy cedzić przez sitko lub gazę. Wodę w naparach można zastąpić mlekiem, dodając po przecedzeniu łyżeczkę miodu prawdziwego i masła. Można stosować wyżej wskazane zioła pojedyńczo lub w mieszankach z kilku. Zażywać 3 razy dziennie, tj. rano, w południe i na noc, lepiej przed posiłkami na godzinę.

Nabywać powyższe zioła można w aptekach, drogeriach, specjalnych sklepach ziołowych, które obecnie są tylko w kilku miastach Polski, jak: Warszawa, Kraków, Łódź, Poznań, w hurtowniach zielarskich i aptecznych, a przede wszystkim w magazynach zielarskich „Społem" przy Okręgowych Oddziałach Rolniczo i Przemysłowo-Rolnych gdzie są wzorowo przechowywane i pielęgnowane. Okręgowe Oddziały Rolnicze i Rolniczo-Przemysłowe „Społem" mieszczą się w każdym wojewódzkim mieście, między innymi w Lublinie.

Choroby płucne wymagają zasięgania porad u lekarza.

KĄCIK JĘZYKOWY

PASYM, KULAWIZNA I PIECHOTA

P. BOLESŁAW POLAKOWSKI (Pasym, pow. Szczytno) zapytuje, jak należy deklinować nazwę miejscowości, w której zamieszkuje, noszącej od wieków po polsku miano „Pasym", a przez Niemców nazywanej „Passenheim": czy trzeba mówić „w Pasymie" czy w „Pasymiu", bo ludzie tam mówią i tak i owak. Sprawdziliśmy tę rzecz w „Słowniku ortoepicznym", Szobera, jako jedynem źródle, jak to się mówi, „miarodajnem". Nazwy „Pasym" nie ma wcale u Szobera. Natomiast są takie, jak: Okocim, Oświęcim, Zakroczym. Należy je deklinować poprawnie w ten sposób: Okocim, Okocimia, w Okocimiu; Oświęcim, Oświęcimia, w Oświęcimiu; Zakroczym, Zakroczymia, w Zakroczymiu. Wnosząc przez analogię, trzebaby mówić: Pasym, Pasymia, w Pasymiu. Natomiast nazwy obce o podobnych końcówkach, jak: Krym lub Rzym — mają deklinację: Krym, Krymu, Krymie; Rzym, Rzymu, w Rzymie.

P. J. STEFANOWICZOWA w związku z listem do redakcji „Tygodnia" (Nr 2-78) p. Z. Sitnickiego w sprawie kalectwa Mickiewicza, zapytuje, czy istnieje w języku polskim wyraz „kulawizm", użyty w tym liście. Oczywista, niema takiego dziwoląga. Są tylko słowa: „kulawość" i „kulawizna", podane i wyjaśnione w tomie drugim wielkiego Słownika Języka Polskiego (Karłowicza), zwanego Warszawskim.

Jest również rzeczownik czasownikowy „kulawienie", oznaczający czynność. Jako przykłady posługiwania się temi rzeczownikami przytacza Słownik takie zdania z Kraszewskiego i innych: „Szybkim krokiem pobiegł, o ile mu kulawizna jego dozwalała"; „odczuwał artystyczną kulawość tego melodramatu" i in. Sądzimy, że p. Sitnicki użył również wyrazu „kulawizna", i nieuwaga zecera czy korektora zniekształciła tak brzydko to stare, polskie słowo.

P. WIKTOR WIŚNIEWSKI ma wątpliwości, czy można mówić po polsku: „chodzić pieszo", ewent. „chodzić piechotą". Może wystarczy — zapytuje — po prostu „chodzić", chodzimy bowiem zawsze na własnych nogach, wówczas gdy „jeździć" możemy rozmaicie: konno, tramwajem, samochodem itd. Otóż, wzmiankowany Słownik Polski przy wyrazie „pieszo" podaje następujące synonimy: na piechotę, piechotą, piechty, piechta, piesza, pieszki, pieszką, pieszaka. Mamy tu i wyrazy gwarowe i staropolskie. Jako przykłady używania tych słów Słownik podaje zdania z autorów różnych czasów, a więc: Czasem i pieszo konia wodzą; Król pieszo z Niepołomic szedł; U Torunia Wisłą pieszo przechodzono; Pani Anielska idzie z domu swego Nazaret pieszo w góry; Piechotą jak pies biegać musiałem; Trudno się ustrzec chodzącym piechotą od wstąpienia czasem w błoto; Dwieście czerwonych złotych piechotą nie chodzi — itp. Ta swego rodzaju tautologia „chodzić, iść piechotą" powstała stąd, że wyrazy „iść" i „chodzić" nie oznaczały i nie oznaczają tylko chodzenia na własnych nogach", ale w ogóle ruch, poruszanie się, kroczenie, stąpanie, udawanie się, postępowanie. Mówimy przecie również tak: sprawa idzie źle; zegar chodzi dobrze, pociąg szedł żółwim krokiem — itp.

DR. E. F. Z WOJNICZA pyta, czy język polski zna słowo „zaliczkować". Owszem. Skarbnica polszczyzny, jaką jest słownik Karłowicza, przechowuje następujące wyrazy, pochodne od „zaliczki": zaliczkodawca, zaliczkowe (rzeczownik rodzaju nijakiego, jak: komorne, czesne) czyli „odsetki od zaliczeń"; zaliczkowy albo zaliczkowy, zaliczkowanie — czynność od czasownika „zaliczkować", który oznacza: „dawać zaliczkę" albo „zadatkować coś". Co się tyczy słowa „ustrój", pisanego jako „ustruj", uśmieliśmy się z tego razem z Panem Doktorem.

Bakałarz

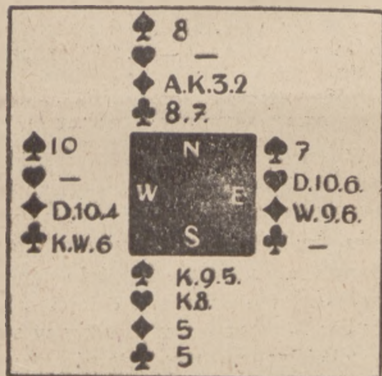
KĄCIK BRIDGE'OWY

ROZWIĄZANIE ZADANIA Nr 1

S zagrywa:

1 zagranie 3 pik przebija damę kier.
2 „ as karo.
3 „ 2 kier przejmuje 8.
4 „ 10 kier zrzuca damę karo z N.

Do tych czterech lew W musi dodawać i już w tym ruchu jest na przymusie: 1 zagranie N — dama pik, 2 — W karo, 3 — W trefl, w 4 zagraniu N musi wyrzucić albo K pik, albo K karo, albo D trefl. Przy zrzutce K pik gra 2 pik, przy K karo gra 10 karo, przy D trefl gra trefle 2 N.



Atu piki. S zagrywa i bierze wszystkie lewy.

Uwaga: Do zadania Nr. 2 wkradła się pomyłka. Omyłkowo N dostał od zecera dodatkowego króla karo. Ma być 6.

Nowy konkurs „Tygodnia"

Zagadka 25 przyniosła 416 odpowiedzi, z których zaledwie kilka było błędnych. Rozwiązanie jej brzmi: „JAK SOBIE POŚCIELESZ, TAK SIĘ WYŚPISZ".

W wyniku losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE:

Arkadiusz Jackiewicz — w. Grzybowa, poczta Wesoła koło Warszawy, ul. Leśna 8.
Genia Bujnowska — Bydgoszcz. ul. Grunwaldzka 152 m. 2.
Andrzej Zych — Witów 180, p. Chochołów, pow. Nowy Targ.
Józef Wojtiusiak — Łodygowice, ul. Słotwina 53, pow. Żywiec.
Maria Solikówna — Opole Szczepanowice, ul. Beniowskiego 8.
Janina Czerwińska — Jędrzejów, Oddział „Społem".
Stanisław Głowacki — Lubraniec, pow. Włocławek, Gm. Spółdz. „Samopomocy Chłopskiej".
Zofia Łuksikówna — Rzeszów. Rynek 27, Zakłady Wytwórcze „Alka".

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Janina Bronarska — Szczytno, ul. Żeromskiego 4.
Andrzej Grochulski — Bielawa pod Górami, poczta Jeziorna koło Warszawy.
Stanisław Graczyk — Gostynin, Szosa Kutnowska 79
Jerzy Katarzyński — Koźmin Wlkp. Państw. Gimnazjum Ogrodnicze.
Jadwiga Stasiuk — Biała Podlaska, ul. Kolejowa 13.
Jerzy Marusa — Sosnowiec, ul. Sienkiewicza 17c.
Leszek Kołodziejczyk — Częstochowa, ul. Wieluńska 23.
Stefania Różanek — Szamotuły, Cukrownia, Blok 38 m. 6.
Maria Sochacka — Warszawa, ul. Wolomińska 11 m. 10.
Cyryl Kałduński — Toruń, Rynek Nowomiejski 5 m. 3.
Henryk Bujnik — Staw, pow. Chełmski.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.



Powyżej podajemy zagadkę Nr 28, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH
oraz
10 NAGRÓD — PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 22 lutego br.



W ubiegłym tygodniu nagrodę w postaci książki R. Kiplinga „Księga dżungli" otrzymał p. Krzysztof Aue z Myślenic, Rynek Nr 13, za nadesłanie nalepki z adresem, w jaką zaopatruje administracja „Dziennika Polskiego" egzemplarze swego pisma. wysyłane do Myślenic. Adres ten brzmi:

Myślenice (Niederdonau)
13 — 11 — 47. Opłacono gotówką.

O Myślenicach wiemy, że jest to miasto powiatowe w woj. krakowskim, nad rzeką Rabą, 32 km od Krakowa, a tem samem od administracji „Dziennika Polskiego". Myślenice miały zawsze nawet przed wojną, 99,7 proc. Polaków. Jeśli chodzi o Niederdonau, sądzimy, że jest to Dolny Dunaj, podobnie jak Oberdonau znaczyłby Górny Dunaj. Dunaj, zwyczajnie Dunaj, nawet nie Dunajec. Cóż się więc przytrafiło „Dziennikowi Polskiemu"? Skleroza — ale jaka! Proszę siadać.

RDZEŃ TEN SAM

Maszynę do więzienia swetrów tylko w dobrym stanie kupię L. Chudzińska, Chełmno, Rynek 12 („Głos Pomorza" Nr 8; nadesłała Regina Skopińska, ucz. III kl. gimn. w Toruniu).

A więc, mamy w Chełmnie nowe więzienie, w którym siedzą swetry. Dyrektorką więzienia jest p. Chudzińska, potrzebująca jakiejś tajemniczej maszyny — może do torturowania swetrów. Tak by to wszystko makabrycznie na pierwszy rzut oka wyglądało. W istocie jest to omyłka druku: powinno być „do wiązania". Albo p. Chudzińska napisała niewyraźnie swoje ogłoszenie, albo zecer tak był przejęty ciągłymi procesami rozmaitych Dolewskich etc., że się pomylił. Zresztą, pan Bakałarz wytłumaczył nam, że to wszystko jedno, bo i „więzić" i „wiązać" pochodzą od tego samego pierwiastka: „wiąz".

SŁUSZNY PODZIAŁ

Kursy kroju Kulczyckiego Józefa, zezwolenie przez Kuratorium organizują: Kursy Kroju męskiego i kroju dżentelmeńskiego („Express Wieczorny" z dn. 21.1.; nadesłał p. Włodzimierz Małodobry z Maczek).

Jest w tym Komunikacie błąd gramatyczny: „zezwolenie przez Kuratorium", ale nikt z pewnością na to uwagi nie zwróci. Każdego uderzy podział Kroju na męski i dżentelmeński. Nie rozumiejąc, o co **tu** chodzi, zwróciliśmy się o wyjaśnienie do samego Kulczyckiego, który nas poinformował, że w dzisiejszych demokratycznych czasach za krój męski uważane są sukmany chłopskie, ubrania robotnicze i marynarki inteligenckie; w zakres zaś kroju dżentelmeńskiego wchodzą żakiety, smokingi i fraki, noszone przez osobników płci męskiej, poczynając od dyrektorów wzwyż.

VIVAT LUBELSZCZAKI

Koncert piątkowy rozpoczęła brawurowa awantura do OPERY „Rustan i Ludmiła" („Życie Lubelskie" Nr 23; nadesłał p. W. M. z Będzina).

Stało się to w ten sposób że pierwszy skrzypek, w momencie podnoszenia kurtyny, zażądał podwyżki, grożąc, że nie zagra. Kapelmistrz mu na to: "Bój się pan Boga, w takiej chwili! Przyjdź pan z tym po koncercie". — „Nie" — odrzekł skrzypek: — „albo teraz, albo figa z koncertu". Skrzypka poparli: bas, wiolonczelista, klarnecista i fagot. Kapelmistrz przerażony krzyknął: „spuścić kurtynę" — i poleciał do dyrektora. Przyleciał dyrektor, no — i poniosło, poniosło, poniosło, na całego, na umór, na ostro — jakby pwiedział Broniewski: „Życie Lubelskie" bardzo lubi takie chryje, i nazywa je brawurowemi. Co do nas, wolimy w operze nie awantury, lecz uwertury.

SPROSTOWANIE

do Nr 4 (80) z dn. 25.I.48 r.

W felietonie Quasa pt. „Rozkosze małżeństwa" opuszczono jeden wiersz.

Wydrukowano:

Więc do późnej nocy wiłem się głodny w łóżku.
Zerwałem się przerażony.

Winno być:

Więc do późnej nocy wiłem się głodny w łóżku.
— Obudziło mnie uderzenie w oko.
Zerwałem się przerażony itd.

KARNAWAŁOWY KONKURS
NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

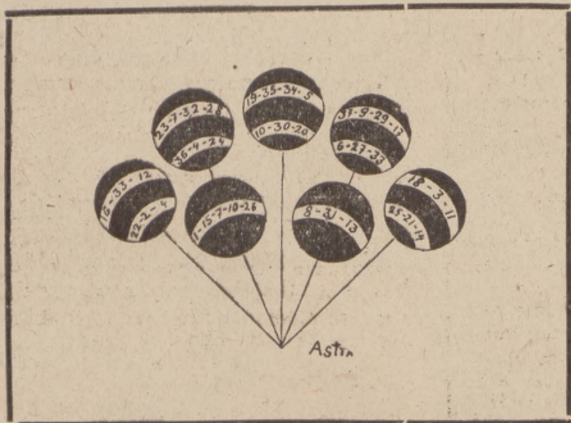
W numerze dzisiejszym kończymy nasz „Karnawałowy Konkurs". Rozwiązanie zadań należy przesłać do Redakcji „Tygodnia" do dnia 22 lutego br.

Za rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a pomiędzy pozostałych, którzy rozwiążą przynajmniej jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia (również książkowych).

Wraz z rozwiązaniami prosimy nadsyłać opinie, które z zamieszczonych zadań były najlepsze. Za trzy najlepsze zadania, wytypowane przez Czytelników, przyznane będą trzy nagrody książkowe.

Nie zamieszczone zadania w „Konkursie Karnawałowym" wykorzystane zostaną w następnym.

Również rozwiązania zadań, zamieszczonych w „Rozrywce", wydanej przez Polski Klub Szaradzistów, należy nadsyłać do „Działu Rozrywek Umysłowych" „Tygodnia". Pozostałe egzemplarze „Rozrywki" zamówić można w naszej Redakcji.



ARYTMOGRAF

Cyfry w balonikach zastąpić literami, tak aby otrzymać 7 wyrazów. o podanym znaczeniu, następnie, ułożywszy litery według kolejnych numerów, odczytać rozwiązanie

1. Port nad morzem Śródziemnym (6)
2. Roślina pożyteczna z rodziny ślazowatych (7)
3. Miasto w Argentynie (7)
4. Miejscowość nad zatoką Pucką (7)
5. Rodzina błonkoskrzydłych (6)
6. Twardy minerał — dwutlenek krzemu (5)
7. Przełęcz górska (3).

Astra.

REBUS



Z teki pośmiertnej „Dziadka - Bakszty"



KRZYŻÓWKA

W figurę wpisać dośrodkowo 32 wyrazy o podanem znaczeniu. Głoski wpisane w kwadratach oznaczonych dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów poziomych:

2. Chód, 3. Zbiornik, 6. Odśrodkowy ruch cząstek, 7. Prawy dopływ Dunaju. 10. Miara objętości, 11. Prawoboczny dopływ Sanu, 14. Składnik powietrza, 15. Kierunek siły ciężkości, 18. Ptak zamieszkujący morza północne, 19. Ucieczka (łac.), 22. Uczeń, 23. Zwierzę z rzędu gadów. 26. Miasto w północ. zach. Grecji. 27. Narzędzie krawieckie. 30. Sprzęt domowy. 31. Dzieło malarza Podkowińskiego.

Znaczenie wyrazów pionowych:

1. Głos zwierzęcy. 4. Hełm. 5. Ciało gazowe. 8. Zaświadczenie urzędowe w paszportach. 9. Miasto w północ. Afryce. 12. Urok. 13. Roślina pnąca podzwrotnikowa. 16. Związek rodowy, rodzina. 17 Miasto we Włoszech nad rzeką Arno. 20 Historyczna rezydencja ks. Radziwiłłów. 21. Żołnierz polskich oddziałów Rochenbrune'a. 24. Zewnętrzna ochrona oka. 25. Napój alkoholowy nazwany gwarą. 28. Wulkan. 29. Większa ilość ludzi. 32. Paliwo.

JADWIGA ŻYLIŃSKA

MODA POPRZEZ HISTORIĘ

Z DZIEJÓW TAŃCA

(Z RYSUNKAMI AUTORKI)



Tancerka grecka.

Instynkt, który każe człowiekowi wyrażać swoje stany emocjonalne zapomocą gestów ciała stał się inspiracją sztuki tanecznej. Tańce ludów pierwotnych były rytmiczne: naśladowały wirowanie ciał niebieskich, przypływy i odpływy morza i wibrację światła. Były więc wyrazem podziwu dla sił przyrody i z czasem weszły w rytuał kultu religijnego



Walc.

Z zabytków sztuki egipskiej i historii Starego Testamentu wiemy, że tańce należały do uroczystości weselnych, pogrzebowych, narodowych i dworskich. Judyta tańcem uczciła zwycięstwo nad Holofernesem, a taniec Salome na uczcie u Heroda przeszedł na zawsze do historii. Największą jednak



Dancing w górach 1948 r.

rolę odgrywał taniec w starożytnej Grecji. Bogowie i muzy, ludzie rosi wyrażali tańcem swoje radości i smutki. Taniec panował w świątyniach, na polach, w teatrze i na stadionie. Za to w Rzymie republikańskim nie cieszył się dobrą reputacją, uchodził za płochą igraszkę, niegodną ludzi statecznych i trzeźwych. I dopiero w okresie cesarstwa, gdy kultura grecka opanowała Imperium Romanum, stał się modny, nigdy jednak nie zdołał zająć tej pozycji co w Grecji.

Chrześcijaństwo przejęło ze starożytności taniec religijny i przeniosło go do swoich obrządków. Wprawdzie Ojcowie Kościoła gromili ten obyczaj, jako zbyt pogański, był on jednak tak głęboko zakorzeniony, że w niektórych miejscowościach jak Limoges i Besançon, Dijon i Beuvais przetrwał aż do końca wieków średnich.

W wieku XIII taniec zaczyna nabierać charakteru rozrywki świeckiej. Przeważnie tańce odbywają się jeszcze w dnie odpustów, na podwórcach kościelnych, jako finał uroczystości religijnych, ale towarzyszą im śpiewki o świeckiej treści. Podczas takiej zabawy odpustowej, w kręgu uczestników porannej procesji tańczył Erlend z Krystyną, córką Lawransa.

W epoce Renesansu taniec przeżywa okres swojej świetności i z rozrywki ludowej staje się rozrywką dworską. Prawie wszystkie tańce świeckie są pochodnymi tańców ludowych, przy tym warto zaznaczyć, że istnieją dziwne — trudne nieraz do wytłumaczenia ze względu na odległość geograficzną — analogie między tańcami takich np. górali szkockich i tatrzańskich.

Najbardziej popularne tańce europejskie pochodzą z Hiszpanii. Są to tańce namiętne, powstałe pod wpływem kultury maurytańskiej, uwodzicielskie i porywające, nic więc dziwnego, że niebawem władze kościelne zaczęły protestować przeciwko ich rozpowszechnianiu, a nawet grozić ekskomuniką. Istnieje anegdota, — którą cytuję za C. J. S. Thompson'em, jak to konsystorz zawezwał parę tancerzy dla zademonstrowania sławnego podówczas Fandango, na które wydał potępiający wyrok. Z początku duchowni w skupieniu śledzili ruchy tancerzy, po pewnym czasie jednak zaczęli w rytm muzyki podrygiwać na fotelach, przyklaskiwać w dłonie, aż wreszcie zerwali się ze swoich miejsc i przyłączyli do tańczących.

Po tańcach słynnych w XVI, XVII i XVIII wieku zostały dziś tylko romantyczne nazwy — Pavane, Sarabande, Gaillarde, Volte, Courante, Gavotte, Minuette (Menuet).

Minęły wraz z dworem ostatniego Ludwika i tylko stare memoiry wspominają, że ze wszystkich dam we Francji najpiękniej sarabandę tańczyła Princesse de Conti, a po niej Ninon de L'Enclos.



Tancerka egipska.

W czasie Kongresu Wiedeńskiego wszedł w modę walc. Nie odrazu jednak zdobył sobie ówczesne salony. Z początku był tańcem przedmieść, a wytworne towarzystwo uważało go za wulgarny i niesmaczny. I dopiero kiedy car Aleksander, wysmukły w swoim obcisłym uniformie zatańczył walca na balu, taniec ten stał się przebojem sezonu. Nieśmiertelność jednak zyskał sobie walc dzięki melodiom Straussa.



Pavane.

Przez czas jakiś ludzie entuzjazmowali się kadrylem czyli kontredansem, polką i galopem, ale tańce te nie utrzymały się długo i należą dziś do kultury obyczajowej wieku XIX.

Po pierwszej wojnie światowej nastąpiła w Europie inwazja tańców amerykańskich. Podobnie jak w wieku XIII w kulturę europejską wtargnęły w taniec elementy maurytańskie, tań-



Menuet.

ce wieku XX reprezentują obcą cywilizację, wyrażają rytm dżungli. Z wyjątkiem tanga, które pochodzi z Ameryki Łacińskiej, wszystkie inne — Charleston, Black - Bottom, Fox-trott, Rumba, Lambeth - valk i Boogie - Woogie są pochodzenia murzyńskiego.

Z dawnych tańców jeden tylko walc przetrzymał obie wojny światowe i po dziś dzień żyje na naszych salach dancingowych — ostatni taniec pochodzenia europejskiego.

Z CYGANERII ARTYSTYCZNEJ

Zmarły w czasie okupacji Karol Szuster znakomity pianista, niepoRównany causer, człowiek o wielkiej kulturze umysłowej i towarzyskiej i nieprzeciętnej inteligencji — nie ma szczęścia do tych, którzy o nim piszą. Józef Wasowski, kreśląc jego sylwetkę jako najcharakterystyczniejszą dla niego rzecz, zauważył, że pożyczał od przyjaciół drobne sumy pieniędzy i nigdy ich nie oddawał. To samo napisał niedawno w „Przekroju" Zaruba. Taka charakterystyczna cecha wysuwana na czoło stawia w niewłaściwym świetle pamięć Karola Szustra.

Jego klęską życiową było to, że nie umiał zarabiać dużo pieniędzy. Miał jakąś nieprzezwyciężoną niechęć do dawania publicznych koncertów, natomiast całymi godzinami, całymi nocami grywał w zamkniętym kole przyjaciół i znajomych, a co do gry jego, to są entuzjastyczne wypowiedzi najlepszych znawców muzyki. Należał niewątpliwie do najznakomitszych polskich pianistów.

Rzeczywiście drobnych długów, zaciągniętych u przyjaciół z reguły nie oddawał, ale też nie domagał się, by jemu oddano, gdy komu pożyczył, a pożyczał często. Taki sposób ujmowania sprawy bardzo dobrze scharakteryzował w swoim czasie Kazimierz Grus.

Siedzieliśmy pewnego razu we dwójkę z Grusem w słynnej sprzed dwudziestu kilku laty w sferach artystyczno - dziennikarskich knajpce Gettlowej na Nowym Świecie. Piło się dużo. Wtem podchodzi do Grusa jakiś jegomość i oświadcza: „Pożyczyłem panu kiedyś 5 zł. Na picie pan ma, a na oddanie mnie pan nie ma?".

A Grus na to z punktu: „Oddałem komu innemu i idź pan do diabła!".

Rzecz w tym, że to nie był wykręt, lecz była to prawda.

W uzupełnieniu dodam, że tego wieczora udało się Grusowi jeszcze inne „powiedzonko".

Piliśmy w dalszym ciągu, gdy nagle weszła jego żona, znana malarka M. B. Żona z wyrzutem opowiada, że Grus przed czterema dniami wyszedł z domu, mając 80 zł. w kieszeni i dotąd nie wrócił. A Grus na to:

„A czy wiesz, jak się musiałem męczyć, ażeby to trwało cztery dni?".

Bo przecież mógł 80 zł. wydać w ciągu kilku godzin... N.

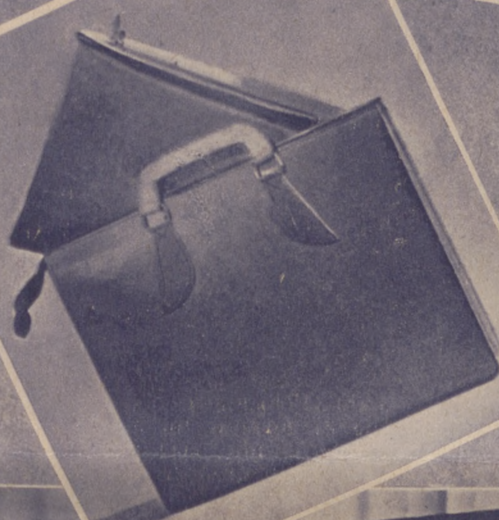
B-45203







Już pachnie wiosną...









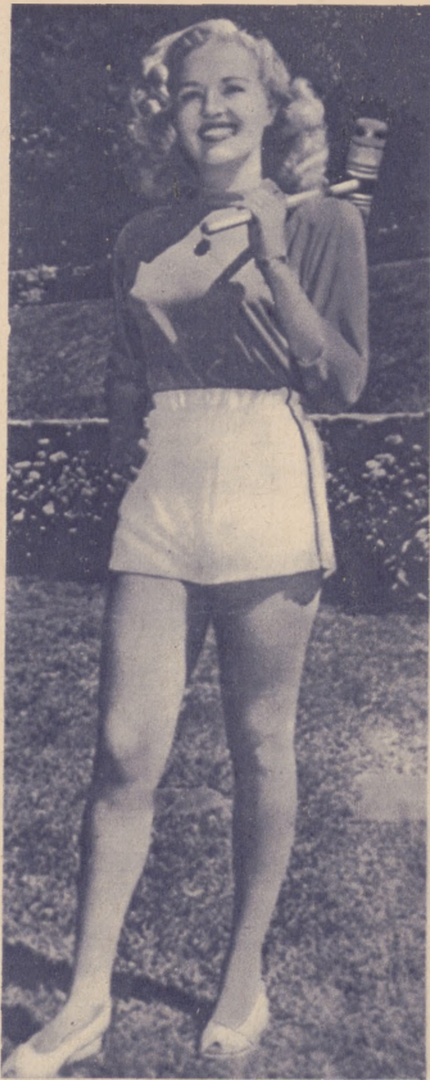


Dzisiejsza nasza strona „rozmyślań o modzie" pachnie nie tylko wiosną, ale jeszcze intensywniej skórą. A więc, przede wszystkim — skórą szeregu modeli najnowszych toreb i torebek, które będą pięknym uzupełnieniem płaszczyków i kostiumów wiosennych. Po środku u góry — oryginalny bucik sportowy z jednego kawałka skóry na podeszwie z tzw. u nas „słoniny". W prawym górnym rogu — naprawdę miły jak na obecną modę komplet wiosenny: jasny żakiet-kabacik, ślicznie skomponowany z ciemną wąską spódniczką. — Wymienione wzory są modelami najbardziej renomowanych domów londyńskich. — Nie we wszystkich jednak dziedzinach mody zagranica jest dla nas wyrocznią. Mówiąc o obuwiu damskim możemy bez megalomanii stwierdzić, że na tym polu Warszawa nie ma chyba konkurencji na całym świecie. Nasi szewcy to naprawdę artyści bardzo wysokiej klasy. Trzy piękne pantofelki, które widzimy po stronie prawej (modele J. Pawlaka — Warszawa, Marszałkowska 46) mogą w dużej mierze potwierdzić tę wysoce pochlebną opinię o polskim rzemiośle szewskim.





Z SZEROKIEGO świata



„Drogocenne nóżki". Znana i u nas z filmów amerykańskich sympatyczna młoda „gwiazdeczka" Betty Grable ubezpieczyła ostatnio swe (jak widać — nienajgorsze) dolne kończyny na sumę aż.... 12 milionów franków. Nawet przy zdewaluowanym franku — stawka asekuracyjna rzeczywiście rekordowa! (Fot. SAP)



Jedną z najbardziej atrakcyjnych „osobliwości" wędrownego cyrku, produkującego się obecnie w Nicei jest panna Zizi la Carregienne — tzw. „najgrubsze dziewczę Europy".



W jednym z hoteli londyńskich odbył się w styczniu wielki Festiwal Dziecięcy z szeregiem najrozmaitszych konkursów. Laureatką konkursu „przybrań głowy" została czteroletnia Tania Heald.



Minister Spraw Zagranicznych USRR — Dymitr Z. Manuilski (z lewej) prowadzi przyjacielską pogawędkę z wiceministrem spraw zagranicznych Związku Radzieckiego — Andrzejem Wyszyńskim. (Fot. Acme.)



Najnowszy wynalazek szwajcarski „Foto-Finish", który po raz pierwszy zastosowano na Olimpiadzie Zimowej w St. Moritz, w nieomylny sposób rejestruje końcowe wyniki biegów narciarskich. Oczywiście, aparat ten może mieć zastosowanie i przy wszystkich innych finałach wyścigowych. (Fot. Keystone)



Ernst von Weizsaecker, sekretarz stanu ministerstwa spraw zagranicznych „III Rzeszy" na ławie oskarżonych Trybunału w Norymberdze. Obok powieszonego Ribbentropa, zgrywający się obecnie na „łagodnego baranka" v. Weizsaecker był jednym z najperfidniejszych „duchów" polityki międzynarodowej Hitlera. (Fot. SAP)



Scena z Tel-Avivu, ciągle kipiącego walką domową. Żołnierz brytyjski prowadzi do aresztu dwóch członków żydowskiej organizacji „Haganah". (Patrz art. na str. 6 wewnątrz numeru)



Ruiny kościoła katolickiego— resztka „zatomizowanego" milionowego miasta Nagasaki. Zdjęcie z ostatnich tygodni. (Fot. New York Times)



Punkt oznaczony strzałą, gdzie spadła pierwsza bomba atomowa w roku 1945. Radoaktywna ziemia z pobliża miejsca wybuchu bomby używana jest dzisiaj jako doskonały kompost pod plantacje warzyw i drzew owocowych.



KTO ZNA TEGO GAGATKA

proszony jest o skomunikowanie się osobiste lub listowne z Prokuraturą Sądu Okręgowego w Warszawie — ul. Leszno 53, pokój 488. Przestępca nazywa się Konrad Werner i przyznaje się, że w latach 1939 — 1941, jako Obersturmführer SS brał udział w łapankach.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień". Redagują: zespół redakcyjny. Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Telefon [illegible]-164. Redaktor przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od 11 — 13.
Drukarnia R. S. W. „Prasa" Z. S. W-wa, Smolna 12, i Zakłady Wklęsłodruk R. S. W. „Prasa" W-wa, Marienszadt 8.

TYDZIEŃ

Administracja: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Telefon [illegible]-715. Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna 450 zł, roczna [illegible] zł. Konto P.K.O. Warszawa, Nr I 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddział Wojewódzki, Warszawa Nr 107.
Ogłoszenia za 1 mm na szerokość 1 szpalty — 120 zł, w tekście 50 proc. drożej.